

HANNA JANUSZEWSKA
PIERŚCIONEK PANI IZABELI

PIERŚCIONEK PANI IZABELI
ILUSTROWAŁ JAN MARCIN SZANCER
NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA 1978

Książka nagrodzona na konkursie „Naszej Księgarni” 1971 r.

© Copyright by J.W. „Nasza Księgarnia” Warszawa 1972

GORĄCY DZIEŃ

„Renta pod numer szósty. Pod siódemkę — druki szkoleniowe dla pana Pawłowskiego, sublokatora Rumbaszkiewiczów. Dla starego Rumbaszkiewicza renty jeszcze nie mam. Dla Żłudnych, pod ósemkę — także nic. Kartka z Gostynina — dla babusi Garbowskiej — pod dziewiątkę. A dla pani doktor — pod dziesiątkę — zaraz sprawdzę”.

I pan Wiśniewski, listonosz, który znał tu wszystkich, którego wszyscy tu znali, oparł się o drzewo, zsunął czapkę na tył głowy i zaczął przerzucać druki i przekazy w swojej rozdziawionej torbie. Było bardzo gorąco, jak to nieraz w czerwcu. Z tamtej strony galeriowca, od ulicy nad rozprażonym brukiem, nad asfaltem jezdni drżało powietrze. W upale sygnałowe światła jak suche błyskawiczki kłuły w oczy, opony syczały, gdy samochody hamowały przed białymi pasami na jezdni. Zapach benzyny i spalin trzymał się w nieruchomym powietrzu.

Ale tu, wewnątrz osiedla, pod drzewem, o które oparł się pan Wiśniewski, przeciągał lekki wiaterek, przemykały się podłużne chłodne cienie liści i jak mroczne rybki nurkowały w pocztowej torbie, prześlizgiwały się po adresach, po palcach pana Wiśniewskiego, przebierających zgrabnie kwity i przekazy.

— Nie, dla pani doktor także dziś nic nie ma — szepnął pan Wiśniewski. — No, to tylko z trzema drzwiami trzeba się będzie poszarpać na galerii!

5

I pan Wiśniewski dodał jeszcze słówko, dotyczące tych drzwi właśnie. Słówko nie było piękne, ale naprawdę niewarte były innego wszystkie drzwi na pierwszym piętrze galeriowca.

Wiadoma rzecz, że galeriowiec to taki blok mieszkalny, w którym wszystkie drzwi wychodzą wprost na długie, biegnące wzdłuż pięter galerie. I taki właśnie galeriowiec zamykał osiedle od strony ulicy. Od ulicy miał okna, a galerie biegły po jego drugiej stronie, wewnątrz osiedla, tam gdzie rośło wysokie drzewo. Gałęzie drzewa sięgały galerii pierwszego piętra, na którą wychodziły drzwi, znaczone numerami od sześciu do dziesięciu. I wszystkie te drzwi się zacinęły.

Oczywiście, że na taką galerię wdziera się wiatr, deszcz, a zimą — śnieg. Ale ani wiatr, ani deszcz, ani śnieg nie wpłynęły na to, że drzwi nie chciały się zamykać i otwierać. Po prostu — te drzwi były takie od początku, odkąd stanął galeriowiec, odkąd wprowadzili się lokatorzy. Lokatorzy zresztą meldowali o tym nieraz komu należy i domagali się doprowadzenia drzwi do porządku. Ale, jak dotąd, kończyło się na tym.

— No, jednak trzeba tam iść w końcu — westchnął listonosz, pan Wiśniewski, i spojrzał spod drzewa w górę. Po galerii przesuwwały się podłużne cienie, przebiegały po ścianach i po tych drzwiach: od numeru sześć — do numeru dziesięć.

Pan Wiśniewski oderwał się od chropowatego pnia, otarł pot z czoła, poprawił czapkę i ruszył na pierwsze piętro galeriowca.

Wszedł na galerię, minął drzwi numer dziesięć z przybitą do nich białą tabliczką: „Zofia Fertyczna — Lekarz-Stomatolog — przyjmuje we wtorki i czwartki — od 16-tej do 18-tej”. Pan listonosz tylko spojrzał życzliwie na te drzwi, a zadzwonił do drzwi numer dziewięć.

— Kto tam? — odezwała się babusia Garbowska.

— Listonosz.

6 — Zaraz! Zaraz!

Za drzwiami, w sionce, zaszurały kroki babusi i coś zapiszczało:

— liii!

— Odsuń się, Daruś, odsuń — głos babusi przybliżył się, klucz zazgrzytał w zamku, klamka drgnęła, opuściła się trochę w dół, skoczyła w górę, drzwi jakby wyrwały się naprzód, stęknęły, cofnęły się i znowu zaparły się mocno.

— Święci Pańscy! — westchnęła zza drzwi babusia Garbowska. 7

— Czemu się pani tak na amen zamyka, pani Garbowska? — zawołał pan Wiśniewski. — Przecież zna pani te drzwi!

— Domu dzieciom pilnuję, panie kochany! — westchnęła zza drzwi babusia. — Żeby to tak u nas, w wiosce, tobym tak nie domykała. Ale w mieście domu dzieciom pilnuję, panie Wiśniewski! A te drzwi takie nieakuratne.

— Do diabła z tymi drzwiami — mruknął pan listonosz. — Niech pani jeszcze raz naciśnie i jeszcze raz pchnie! A ja pociągnę. No: raz — dwa...

— liii!

— Odsuń się, Daruś. Już, panie Wiśniewski. Przyciskam, popycham...

— Ciągnę...

Drzwi zadrgały, jakby przebiegł po nich dreszcz, i skrzypiąc otworzyły się powoli, a w progu mieszkania numer dziewięć ukazała się babusia Garbowska. Była niewysoka, rumiana, siwy warkocz miała ułożony w koronę, opasana była fartuchem w paski, a na szyi miała korale. Zza fartucha babusi wyjrzał mały Daruś, uśmiechnął się do pana Wiśniewskiego i wsadził palec w nos.

— Dzień dobry, pani Garbowska — powiedział pan Wiśniewski. — Kartkę do pani mam. Ze stemplem z Gostynina.

— Olaboga — spłoszyła się babusia. — Znowu mi się okulary gdzieś zapodziały!

— Ii — powiedział przez nos Daruś.

Pan Wiśniewski spuścił oczy. Wiadomo, jak to z tym czytaniem babusi. W czasach, gdy była młoda, na wsi nie tak łatwo było o szkołę.

— Ja pani przeczytam — powiedział i uśmiechnął się do niej.

— Panie Boże zapłać! — rozpromieniła się babusia Garbowska.

8 Pan Wiśniewski podniósł kartkę do oczu i czytał:

„W pierwszych słowach naszego listu pozdrawiamy Cię, kochana Matko. Cieszy nas, że Ci dobrze u Marcysiów i że im się jakoś we wszystkim wiedzie. Bogu dzięki, że mieszkanie macie piękne i telewizor, a i nie za wysoko, jak Karbowski, bo ich matka ani razu na mieście nie była, tak się boi z czternastego piętra schodzić, a do windy — to za 9

skarby świata wejść nie chce. U nas na gospodarstwie też się w tym roku źle nie zapowiada.

Kochana Matko, piszemy Ci o tym, że nasza Cechna do stołecznej szkoły muzycznej ma egzamin po piętnastym, więc pytamy grzecznie Marcysiów, czyby Cechna mogła u nich zatrzymać się na ten czas. Nauczyciel nas na tę szkołę namówił. Powiada, że Cechna ma ucho do muzyki, a głos do śpiewu. To pewno po wuju Witkowskim, co na wszystkich weselach grywał. Więc dajcie nam znać, Kochana Matko, czybyście mogli na ten czas egzaminu przytulić dziewczynę”.

Babusia Garbowska klasnęła w ręce.

— Cechna! Głos ma i ucho do muzyki, jak wujo Witkowski! Olaboga! Na egzamin przyjeżdża! A tu moich nie ma! Marcyś — na delegacji, a Karolka — w służbowej podróży! Aby ja jestem z Daru-siem. I okulary mi się gdzieś zapodziały!

— A kartę pocztową pani ma? — zapytał pan Wiśniewski.

— Mam, panie Wiśniewski kochany! Mam! I znaczek do niej.

— To się załatwi tę odpowiedź — powiedział pan Wiśniewski wchodząc do sieni numer dziewięć.

— Załatwi się, panie Wiśniewski, prawda? Marcyś i Karolka nie odmówią Cechnie gościny!

Pan Wiśniewski wszedł do kuchni państwa Garbowski, a po paru minutach wyszedł z mieszkania pod dziewiątką z kartką pocztową pięknie zaadresowaną, z czterdziestogroszowym znaczkiem.

— To już ja może chociaż wrzucę? — wyjrzała za nim babusia Garbowska.

— Szkoda pani nóg, pani Garbowska — powiedział pan Wiśniewski. — Przecież i tak będę dzisiaj na poczie!

Minął drzwi państwa Złudnych i zatrzymał się przed siódmką. Zadzwoił. W mieszkaniu zaczął ujadać pies, a gruby głos huknął: 10 — Już otwieram!

I 3 M

Pies rozszczękał się na całego, drzwi zadrżały, jakby ktoś w nie kopnął, klamka skoczyła w górę, opadła, deski zaskrzypiały i drzwi się otworzyły.

- - A to pan, panie Wiśniewski! — zawołał z progu pan Napoleon Rumbaszkiwicz. Z powodu upału miał na sobie tylko koszulkę gimnastyczną i spodnie na szelkach. — Czy jest coś dla mnie? — krzyczał, błyskał ciekawie modrym okiem i podciągał szelki. — Na rentę czekam! Należy mi się za wojowanie! No nie? Ho! — Ma się rozumieć — powiedział pan Wiśniewski. — Ale dziś renty jeszcze dla pana nie ma. Tylko druki dla pana Pawłowskiego.

— Druki dla kuzyna, kuzynie Pawłowski! — wrzasnął pan Napoleon i spojrzął w głąb mieszkania. Na to pies zaczął ujadać radośnie, jakby się z tych druków bardzo ucieszył, jakieś drzwi otworzyły się w sieni i na progu ukazało się dwóch blondynów, jeden młodszy, drugi starszy, obaj zmiętoszeni i potargani, a pomiędzy nich wdarł się susem kosmaty pies na krzywych nogach i zaczął łasić się i doskakiwać do pana-Wiśniewskiego.

— Leżeć, Karabin! — krzyknął pan Napoleon Rumbaszkiwicz. — Co ten pies krwi mi napsuje! Ciszej! Ciszej! — wołał coraz głośniej.

— Druki dla pana, panie Pawłowski! — grzmiał pan Wiśniewski przekrzykując psa i pana Rumbaszkiwicza.

Starszy blondyn wyciągnął jedną rękę po druki, a drugą złapał się za lewy policzek.

— Au! — stęknął. — Znowu mnie kopnęło!

— Nie rozumiem, dlaczego kuzyn nie pójdzie do dentysty? — wzruszył ramionami pan Napoleon Rumbaszkiwicz. — To tchórzostwo!

— Czasu nie mam — jęknął pan Pawłowski. — Dostałem urlop z Zakładów na egzamin magisterski i szkoda mi każdej chwili!

Ale przecież mamy panią doktor stomatologa na naszej galerii! — huczał pan Napoleon. — Można powiedzieć: pod nosem! I do tego taką ładną! Ho, ho! — pociągnął się za lewy wąs.

— Nic mnie to nie obchodzi! — skrzywił się kuzyn Pawłowski. — 12 Obchodzi mnie magisterski egzamin.

— E, co tam egzamin magisterski — wzruszył ramionami młodszy blondyn. — Egzamin do liceum — to dopiero struwa!

— To nie wylatuj na galerię, Robert, kiedy tylko pies zaszczęka! — fuknął na niego pan Napoleon.

— Wracaj do powtórki z fizyki!

— Kiedy taki upał — jęknął blondynek.

— Piekielny upał — zgodził się pan Napoleon Rumbaszkiwicz i zwrócił się do pana Wiśniewskiego — Przez ten upał od wczoraj napisałem tylko pół stroniczki mojego pamiętnika.

— To mało? — zapytał pan Wiśniewski, który nie pisał pamiętnika i nie znał się na tym.

— Napisałbym dziesięć razy tyle, gdyby nie ten skwar i nie ten tłok u nas! A mam umowę z Wydawnictwem i termin się zbliża! — pan Napoleon wyciągnął z kieszeni spodni wielką chustkę i wytarł nią czoło. — A jeszcze wszystko w domu na mojej głowie! Braterstwu zachciało się zamorskiej wycieczki i zostawili cały dom z chłopakami pod moją opieką!

— Hau, hau! — podskakiwał Karabin.

— Do domu! — zamachnął na niego chustką pan Napoleon Rumbaszkiwicz.

Pies podkulił ogon, wślizgnął się do sieni i ukrył za uchylonymi drzwiami. Ale po chwili wychylił łeb, jakby podłuchiwał.

— U państwa wielkie zagęszczenie — powiedział pan Wiśniewski.

— Kiedy skończę pamiętnik, postaram się zapisać do Związku Pisarzy! — wykrzyknął pan Napoleon. — Będę miał prawo do większego metrażu!

— Kiedy tam stryjek skończy — mruknął młodszy blondynek.
— Prędzej niż ty pójdziesz do liceum! — wołał pan Napoleon. — Tylko spokoju mi trzeba, spokoju!
— Hau? — zdziwił się zza drzwi Karabin.
— Do domu! Do domu, Karabin! Do domu, kuzynie! Do domu, Robert! Wszyscy do domu! Jazda! Pan Wiśniewski usunął się spod drzwi numer 7, które z wielkim hukiem zatrzasnęły się za rodziną Rumbaszkiewiczów. Pan Wiśniewski poszedł galerią dalej.
Drzwi numer sześć były uchylone, coś za nimi brzęczało, coś chlupało, Pan Wiśniewski zastukał.
— Renta, proszę pani.
— Niech pan zaczeka chwileczkę, panie Wiśniewski — powiedział zza drzwi głos, jakby przygaszony, ale w którym, jak czasem w echu, odzywał się głęboki piękny dźwięk.
Drzwi numer sześć otworzyły się szeroko i pan Wiśniewski zobaczył stojące w sionce wiaderko, wiszącą na nim ścierkę i siwą panią szybko od wiążującą fartuch.
— Niech pan nie wchodzi, panie Wiśniewski — powiedziała tym swoim niezwykłym głosem. — Sprząta się w sieni.
„Sama sprząta — pomyślał pan Wiśniewski — a przecież kiedyś...”
— Podpiszę panu zaraz — powiedziała pani Izabela i wyszła za próg. Upalny blask padł na jej mroczne, przetykane siwymi pasmami włosy, w blasku zaświeciły jej smoliste oczy.
— Tu, na tym odcinku, proszę pani. Proszę, tu jest ołówek. I niech pani napisze i swoje imię: Izabela.
Pani Izabela oparła przekaz o framugę i położyła swój podpis ołówkiem pana Wiśniewskiego. Na jej palcu migotał pierścionek z czerwonym kamieniem. Drzwi numer sześć poruszyły się za nią.
— Ostrożnie, proszę pani — powiedział pan Wiśniewski. — Bo zatrzasną się i będzie bieda.
14 — Tak, to kłopotliwe drzwi — uśmiechnęła się pani Izabela przytrzymując drzwi ręką z pierścionkiem. — Ale nie przesadzajmy: gdyby tylko zdarzały się takie kłopoty!
I ciemne oczy spojrzały gdzieś przed siebie, za pana Wiśniewskiego, za galerię.
„Wszystko straciła — pomyślał pan Wiśniewski. — Wszystko i głos”. A chociaż tyłu spotykał ludzi, którym wojna zabrała wszystko — zawsze ścisnęło mu się serce, gdy patrzył na sławną kiedyś śpiewaczkę i chciałby jej powiedzieć o tym. Ale takie rzeczy niełatwo jest powiedzieć, gdy się jest listonoszem. Więc pan Wiśniewski zaczął odliczać rentę.
— Pomógłbym pani z tą podłogą — powiedział nie podnosząc oczu — ale jestem na służbie — i podał pieniądze pani Izabeli.
— Ależ to głupstwo! — roześmiała się pani Izabela. — Bardzo zdrowa gimnastyka dla starszych osób!
— Kiedy już pani takie rzeczy robi — powiedział pan Wiśniewski poprawiając pocztową torbę — to powinna pani zdejmować pierścionek. Jeszcze pani do wiadra wleci i do zlewu trafi.
— Nigdy go nie zdejmuję — pani Izabela zmarszczyła brwi. — To pamiątka. Dlatego nie sprzedałam go, choć sprzedałam wszystkie inne błyskotki. Nieraz myślę, że dlatego ocalałam, bo nigdy nie rozstawałam się z tym pierścionkiem — powiedziała, zamyśliła się i przesunęła raz i drugi na swoim palcu pierścionek. Tak: był teraz za szeroki.
— Ano, powiadają niektórzy, że czasem kamienie przynoszą szczęście. Może być — pan Wiśniewski poprawił torbę na ramieniu i już zabierał się do odejścia, gdy nagle schody zatrzęsły się od tupotu nóg i na galerię wpadł, wymachując teczką, mały Michał Rumbasz-kiewicz, a za nim trzy Żłudne: Ala, Cela i Maja, tak do siebie podobne, że nikt ich oprócz Michała nie starał się odróżnić. Wszyscy czworo wołali wielkim głosem-
— Komisja idzie! Komisja!
— Jaka komisja? — zapytała pani Izabela.
— Komisja od zacinających się drzwi! — krzyczał Michał Rumbaszkiewicz. 16 — Ko — mi — sja! Ko — mi — sja! — wyśpiewywały trzy Żłudne i podskakiwały, a lekkie pasma ich jasnych włosów unosiły się w górę.

— Idzie pan z Administracji! I pan majster z Naprawczych Warsztatów! I pan Inżynier! I pani z Komitetu Blokowego! — wykrzykiwał Michał Rumbaszkiewicz.

— Hau! — odkrzyknął Karabin zza drzwi numer siedem, wszystkie drzwi mieszkań, w których byli obecni lokatorzy, zaskrzypiały, zadygotały, klamki zabręczały, zamki zazgrzytały i na galerii zrobiło się rojno.

— Hau! Hau! Hau! — szczekał Karabin.

— Cicho, kundlu — chwycił go za kark pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Komisja idzie!

WYMIARY

Komisja szła środkiem galerii, wyglądała dostojnie jak delegacja na uroczystym pochodzie, zdawała się swoim posłannictwem wypełniać całą galerię. Pan listonosz i pani Izabela cofnęli się przed nią aż pod samą balustradę, tam gdzie przepływały cienie liści. Pani Izabela przesuwiała pierścionek na palcu, pan listonosz Wiśniewski poprawiał czapkę. Karabin przysiadł warcząc przy panu Napoleonie Rumbasz-kiewicz, kuzyn Pawłowski trzymał się za policzek, Robert Rumbasz-kiewicz wsunął podręcznik fizyki pod pachę, a Michał i trzy Złudne podsunęli się pod samą ścianę. Komisja szła w skupieniu, milcząc podeszła do drzwi numer sześć. Pan Inżynier nachylił się, zbliżył oko do zamka, poruszył klamkę, próbował obrócić klucz. Jedno i drugie zabręczało, zazgrzytało, zaskrzypiało, a nawet pisnęło tak cienko, że Karabin zawarczał jeszcze głośniej. A potem pan Inżynier zaatakował drzwi. Michał Rum-baszkiewicz zachichotał, pani z Komitetu Blokowego spojrzała z góry na Michała. Drzwi najpierw udały, że się zamknęły, ale po chwili swoim zwyczajem coś hopsnęło w zawiasach, drzwi odepchnęły się od framugi, wydeły się i odskoczyły.

— Ii — ucieszył się mały Daruś.

— Cichaj, Daruś — powiedziała babusia Garbowska. — Nie przeszkadzaj Komisji.

— No, tak — powiedział pan Inżynier, odsuwając się od drzwi. 18 — A tak — westchnął pan majster z Naprawczych Warsztatów.

— Ach, tak! Tak! Tak! — powiedziała pani z Komitetu Blokowego.

— Tak? — powiedział pan z Administracji.

— Idziemy dalej! — wykrzyknął ochoczo pan Inżynier i żwawo ruszył pod drzwi numer siedem, które, oczywiście, zachowały się tak samo, tylko na dodatek warczał pod nimi Karabin. Ale wszystko to nie przygnębiło pana Inżyniera, który najwyraźniej znał się na tych sprawach, a przy tym był bardzo pogodnego usposobienia. Szarpiąc się z drzwiami na galerii mrugał wesoło okiem i nawet pośpiewywał pod nosem dziecinną pioseneczkę: „...nie umiemy roboty, kupim sobie wózeczek — będziem wozic piaseczek”, czy coś takiego, co śpiewają przedszkolaki. Reszta Komisji sunęła za nim w milczeniu, tylko pani z Komitetu Blokowego pokrzykiwała: — Ach! Ach! — gdy któreś drzwi trzasnęły głośniej.

Komisja przeszła przez całą galerię, pan Inżynier zmierzył się i drzwiami od numeru sześć — do numeru dziesięć po kolei, po czym wszyscy zawrócili pod drzwi numer sześć i tu lokatorzy otoczyli Komisję.

- No i co? — wykrzyknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz.

— Te drzwi nadają się tylko na szmelc — powiedział pan Inżynier. — Trzeba je wymienić.

Wszystkie.

— Niech panu Bóg najwyższy da zdrowie! — zawołała babusia Garbowska.

— Wszystkie? — zasepił się pan z Administracji.

— Ach, oczywiście, że wszystkie! — powiedziała pani z Komitetu Blokowego patrząc na promiennego pana Inżyniera.

— A pewno! — powiedział pan majster z Naprawczych Warsztatów.

Na pewno! powiedział pan Inżynier. — Przecież takie drzwi otwierają się bez szarpania chyba tylko w czwartym wymiarze! 19

— W czwartym wymiarze? — zdziwił się pan majster z Naprawczych Warsztatów.

— W czwartym wymiarze! — zachichotała pani z Komitetu Blokowego i zatrzepotała powiekami, a Michał Rumbaszkiewicz wpatrzył się w nią okrągłymi oczami. Nigdy jeszcze nie widział takich

zielonych powiek.

— Więc piszemy protokół? — zapytał pan z Administracji.

— W protokole nie warto pisać o czwartym wymiarze — uśmiechnął się pan Inżynier. — Napiżemy po prostu, że trzeba wymienić drzwi i zamki we wszystkich lokalach na pierwszym piętrze galeriowca! I to prędko, przed zimą. Koniecznie! — Błysnął w uśmiechu zębami, uklonił się wszystkim, powiedział: „Moje uszanowanie państwu” i zamasyżył ruszył z galerii, a za nim cała Komisja.

— Co on miał na myśli z tym czwartym wymiarem? — zmarszczył się Robert Rumbaszkiewicz i trzepnął się w ucho zmiętym podręcznikiem.

— Po prostu, że drzwi nie można zamknąć ani otworzyć — wzruszył ramionami pan Napoleon.

— Oj, nie można, nie można — pokiwała głową babusia Garbowska. — Nie można, żeby je dwa i trzy, i cztery razy mierzył!

— Ale co to takiego ten czwarty wymiar? — krzyknął Michał Rumbaszkiewicz. Kuzyn Pawłowski przelknął, przymknął oczy, jak to się czasem robi przy powtórcie.

— Długość — to jeden wymiar — powiedział.

— Jeden wymiar ma Unia — wtrącił Robert Rumbaszkiewicz.

— Właśnie — kiwnął głową kuzyn Pawłowski. — Długość i szerokość to dwa wymiary.

— Każda powierzchnia jest dwuwymiarowa — wtrącił Robert.

— Właśnie — zgodził się kuzyn Pawłowski. — Długość, szerokość i grubość — to trzy wymiary.

— Każda bryła jest trójwymiarowa — wygłosił Robert Rumbaszkiewicz. — Ale co to jest czwarty wymiar?

— Właś... — powiedział kuzyn Pawłowski, nagle krzyknął: — Uuu — aj! — skurczył się, przysiadł i jęknął: — Tego nie można sobie wyobrazić!

л

21

Ja mogę — powiedział pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Nieraz tak mnie zęby bolały, jakby mnie kto żądnem w szczękę wiercił!

To jeszcze nie to! — krzyknął kuzyn Pawłowski i rzucił się susem w otwarte drzwi mieszkania numer siedem. Chyba wypłuczę szalwią czy co! — jęczał.

— Na taki ząb i szalwia nie pomoże! — krzyknął za nim pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Kiedy pani doktor wróci z dyżuru, wypchnę do niej kuzyna, choćby siłą! — i wpadł w drzwi za kuzynem Pawłowskim, a za nimi Karabin.

— Goni! Goni! — ucieszył się Daruś i zakręcił się w kółeczko, zadzierając bródkę.

— Oj, Daruś, bo się obalisz! — zawołała babusia Garbowską i pochyliła się, chcąc go pochwycić, ale Daruś umykał, kręcił się jak bąk i wykrzykiwał:

Goni! Goni! Goni! - Goni! Goni! Goni! — roześmiały się trzy Złudne i teraz one zaczęły obracać się wkoło, coraz prędzej, coraz prędzej. Coraz prędzej, coraz prędzej stukwały ich drewniane sandały, lekkie włosy przesłaniały im twarze, podnosiły się w górę.

— Goni — goni — goni!

Cienie liści biegły po betonowej podłodze, po ścianie galeriowca.

— Goni — goni — umyka! — śpiewały trzy Złudne: Ala, Cela, i Maja.

— liii! — pisał cienko mały Daruś.

Drzewo zaszumiało, gałęzie poruszyły się, zatrzepotały liście.

— Powiało — powiedział listonosz, pan Wiśniewski, i obejrzał się na drzewo.

Pani Izabela oparła się o balustradę. Uśmiechała się i przesuwając

22 pierścionek na palcu patrzyła na wirujące dzieci.

— Goni — goni — leci — leci — spada — spada! — śpiewały trzy Złudne.

— liii! — cieszył się Daruś.

— Ach! — krzyknęła pani Izabela.

Wirujące dziewczynki zatrzymały się, zatrzymał się Daruś i wszyscy: pan Wiśniewski, babusia Garbowska, Robert Rumbaszkiewicz, mały Michał — spojrzeli na panią Izabelę.

Pani Izabela była blada. Podniosła dłoń i szepnęła:

— Mój pierścionek... Pierścionka nie było.

PRZESUNIĘCIE

Zegar wybił godzinę.

— Już szósta — szepnęła pani Izabela. Poczowała miły zapach i otworzyła oczy.

Trzy pęki pachnącego groszku pochylały się nad jej tapczanem. Trzymały je trzy pary rąk trzech dziewczynek.

— Ala! Cela! Maja!

— Jak się pani czuje? Czy pani czego nie potrzeba? My wstawimy te kwiaty do dzbanka!

— Moje miłe — uśmiechnęła się pani Izabela. — Dziękuję! A czuję się zupełnie dobrze: przespałam parę godzin. Niczego mi naprawdę nie trzeba. Przecież pomyśleliście o wszystkim, moi kochani sąsiedzi! Zaraz wstanę, nie będę już dłużej leniuchować.

— Niech się pani sąsiadka jeszcze nie podnosi — odezwała się z progu babusia Garbowska. — A może ja herbatki pani zrobię?

— Dziękuję pani Garbowskiej. Dziękuję za wszystko.

— A może chciałaby pani rurkę z kremem? — wyjrzał zza babusi Garbowskiej Michał Rumbaszkiewicz. — Są świeże w kiosku.

— Nie, Michasiu, nie mam teraz chęci na rurkę — uśmiechnęła się pani Izabela.

Michał ściągnął brwi.

— A może pani nie ma pieniędzy? Bo ja mam — powiedział, wsunął rękę do kieszeni i zabrzączał monetami.

— To kup sobie rurkę, Michasiu, i zjedz za moje zdrowie!

— Ja bym wolał kupić pani — naburmuszył się Michał.

— Co tu się kręcisz i zawracasz pani głowę, Michał? — w pokoju zjawił się kuzyn Pawłowski i odsunął na bok Michała.

— On mi wcale nie przeszkadza! — pani Izabela usiadła na tapczanie. — Chciał mi coś przynieść z kiosku.

— I ja idę teraz do kiosku po papierosy, to mógłbym pani coś załatwić — mruknął kuzyn Pawłowski.

— A jak ząb? — zapytała pani Izabela.

— Jakoś ustał po tej szalwii, na psa urok — westchnął kuzyn Pawłowski.

— Niech się jednak pan wybierze do pani doktor — uśmiechnęła się pani Izabela.

— Jak tylko przerobię skrypt nr 43, o przyśpieszeniu swobodnego spadku w próżni — powiedział kuzyn Pawłowski, przymknął oczy i zamamrotał:

— Co proszę? — zapytała pani Izabela, usiadła na tapczanie i rozszerzonymi oczami spojrzała na kuzyna Pawłowskiego.

Kuzyn Pawłowski przeciągnął dłonią po jasnych włosach.

— Przepraszam panią — szepnął — ale nie mogę się oderwać od tego wszystkiego. Więc doprawdy nic pani nie trzeba?

— Doprawdy nic. Wszyscyście już państwo pomyśleli o moich potrzebach! Ja zaraz wstaję, mam chęć przejść się trochę, choćby po galerii — powiedziała pani Izabela.

Więc kuzyn Pawłowski wysunął się z pokoju, pociągając za sobą nasrożonego Michała, a za nimi wyszła babusia Garbowska i trzy Złudne: Ala, Cela i Maja.

Pani Izabela wstała. Nie wyszła jednak na galerię. Usiadła przy swoim małym stoliku, położyła na nim obie dłonie i przez długą chwilę na nie patrzyła.

„Zginął — myślała — mój ostatni pierścionek zginął. Piękny

pierścionek z czerwonym kamieniem. Ileż lat był na moim palcu.

26 Ileż niebezpieczeństw przeżyłam z tym klejnotem! Nieraz myślałam.

że przynosi mi szczęście, że dzięki niemu ocalałam. Tak: straciłam dziś coś więcej niż wartość złota i pięknego kamienia. Straciłam — pamiątkę. Tak dobrze przypominam sobie ten wieczór, kiedy dostałam ten pierścionek. Dostałam go od człowieka, który uwielbiał mój głos, moje czarne oczy, który wywróżył mi sławę. Byłam wtedy młoda, mój głos był bogaty, wypełniał sobą cały teatr. Moje oczy były pełne blasku, włosy miałam czarne, wysoki grzebień we włosach. Śpiewając wybijałam takt obcasami hiszpańskich pantofelków. A gdy skończyłam pieśń — cały teatr trząśnięty od oklasków, wypełniały go od parteru aż po galerię.

Tego wieczoru moja teatralna garderoba pełna była kwiatów, a pod wiązanką róż, w wysłanym atłasem pudełeczku, leżał pierścionek z czerwonym kamieniem. I to także wtedy kuzynek Adzio, wesoly nicpoń, który zaraz po tym wieczorze umknął przed wierzycielami do Ameryki — wymachiwał wielkim bukietem i wykrzykiwał :

— Nikt nie ma takiego głosu, jak ty, kuzynko Izabelo!

— Nikt nie ma takich oczu, jak ty, kuzynko Izabelo!

Stałam przed nim wtedy w swoich hiszpańskich pantofelkach i chociaż milczałam, wciąż drżałam od śpiewu. Tak: bo i teraz nieraz czuję, jak drży we mnie śpiew, chociaż już nie mam głosu".

W pokoju pani Izabeli pociemniało, pociemniało i w słońcu. Widać babusi Garbowskiej udało się zamknąć szczelnie drzwi. Ale i przez zamknięte drzwi dobiegały do mieszkania wszystkie dźwięki.

— No i co pani powie, pani doktor? Takie zmartwienie! Takie zmartwienie! — mówił na galerii pan Napoleon Rumbaszkiewicz.

— Ach, to okropne! — powiedział na to młody głos.

„Pani doktor wróciła z dyżuru” — pomyślała pani Izabela, a zatroskany młody głos mówił dalej:

— A jak się teraz czuje pani Izabela?

— Teraz już dobrze, pani doktor! Ale myśleliśmy, że zemdleje, taka była bledziutka, kiedy się to stało.

— Ale czy państwo dobrze szukali?

— Ho ho! — mówił coraz głośniejszy pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Jakaśmy szukali! Pojęcia pani doktor nie ma! I na galerii, i pod galerią, pod tym drzewem! Przez pół dnia! Na czworakach! Na kolanach! Przez cały dzień na froncie tyle się nie naczółgałem, co dzisiaj!

— I nic? — zmartwił się młody głos. — A może jednak jeszcze się znajdzie?

— Ziemię bym poruszył, żeby się, szelma, znalazł! — wołał coraz głośniejszy pan Napoleon Rumbaszkiewicz.

— A czym by stryjaszek ziemię poruszył? — odezwał się nagle głos Michała. — Kalichlorkiem?

— Jazda stąd, Michał! — huknął pan Napoleon, aż drzwi pani Izabeli zatrzeszczały. — Jazda! Spać! Patrzcie go, pirotechnika! Po kąpieli boso lata i pięty brudzi! Spać! Do łóżka! Już!

— Hau! — zawołał Karabin.

Pani Izabela poczuła się znowu jak w domu. Jakby nic nie zakłóciło powszedniego dnia na pierwszym piętrze galeriowca.

— Hau! Hau!

— Jazda! — wykrzyknął jeszcze raz pan Napoleon, sąsiednie drzwi huknęły głośno. Ucichło.

Wtedy za drzwiami pani Izabeli zaszemrały kapcie babusi Garbowskiej i jej głos wyszeptał:

— Ooo, zmęczyła się pani doktor na tym dyżurze — biedniu-sieńka. Może ja herbatki zrobię?

— Dziękuję — młody głos zabrzmiał jeszcze ciszej. — Przejęłam się tym wszystkim, pani Garbowska. I pacjentów miałam tylu. Już

28 me chcę i herbaty, tylko do łóżka.

— Ano, pacjenty — to pewno na taki upał niecierpliwe. Upał cierpliwość z człowieka wyciąga!

— Najgorsi mężczyźni, pani Garbowska. Tacy niewytrzymali!

— A wiem, wiem — westchnęła babusia Garbowska, kapcie znowu zaszemrały na betonowej podłodze galerii i wszystko umilkło.

Pani Izabela siedziała wciąż przy swoim stoliku, ale nie myślała o pierścionku. Myślała o sąsiadach z galerii — o Rumbaszkiewiczach, kuzynie Pawłowskim, ślicznych, podobnych do siebie

Złudnych, o babusi, Darusiu i o młodej pani doktor. O wszystkich, co wpadali dziś do jej pokoju, szukali pierścionka, przejęli się jej troską. Wpadali do jej pokoju, jak kiedyś wielbiciel jej głosu, jej czarnych oczu, do jej garderoby w teatrze. I nagle serce pani Izabeli zabiło mocno, tak jak wtedy, gdy stała pośród kwiatów w hiszpańskich pantofelkach i coś w niej zadrżało jak wtedy, jak utajony śpiew.

„Wzruszyłam się” — pomyślała pani Izabela i jakby się zawstydziła.

Drzwi do sionki były otwarte, a w sionce było ciemno, tylko przez szparę między framugą a spaczonymi, niesfornymi drzwiami płynęło wąskie pasmo blasku. „Księżyc” — pomyślała pani Izabela. Nagle ściągnęła brwi: w zamku coś zachrobotało, zabrzęczało, jakby ktoś dobierał się do drzwi jakimś narzędziem.

— Kto tam? — zapytała niespokojnie.

Chrobotanie umilkło, ale po chwili odezwało się znowu, chyba w drzwiach numeru siedem, a potem dalej i ciszej — coraz dalej i coraz ciszej — w drzwiach numer osiem, dziewięć, dziesięć.

— Kto to majstruje przy zamkach? — poruszyła się pani Izabela, wstała i weszła do sionki. Blask w szparze migotał, ale drzwi były zamknięte.

— Te drzwi bez szarpania otwierają się chyba tylko w czwartym wymiarze — przypomniała sobie pani Izabela i uśmiechnęła się. — 29

Wesoły człowiek z tego pana Inżyniera! Bawi się w czarowanie. A-ach!

— A-ach — odetchnęły drzwi, otworzyły się powoli i pani Izabela znalazła się na galerii.

Ciemne liście drzewa rysowały się na niebie, nieruchome. Nad drzewem świecił księżyc, a jego blask był ostry jak blask reflektora.

— Przecież to teatralne drzewo! — szepnęła pani Izabela. — Drzewo z operowej dekoracji, która spłonęła razem z teatrem! To pod nim wtedy śpiewałam!

Podniosła głowę, poznała te liście, jakby rozpięte na błyszczącej siatce. A tam w dole? Przecież to była orkiestra! Powietrze drżało od dźwięku instrumentów — świeciła uniesiona pałeczka dyrygenta, unosiła się, wahała na prawo, na lewo, opadała w dół na falach muzyki. Pani Izabela stała w tej fali, drżąca od śpiewu wypełniającego całą noc, cały świat i jej serce, które mocno biło. Na tej fali zakolysała się betonowa podłoga, spłynęły na nią teatralne łoże, a z każdej z łóż patrzyły na panią Izabelę rozszerzone zachwytem oczy, migotały szkła lornetek.

„Nikt nie ma takiego głosu!” — drżało w powietrzu.

„Nikt nie ma takich oczu!”

Wzrok pani Izabeli zamglił się, rzęsy zatrzepotały, światło księżycy zakłuło ją pod powiekami.

Uniosła dłoń i przetarła oczy. Księżyc świecił tak jasno, że wszystkie drzwi, wszystkie zamki widać było wyraźnie jak w dzień. Przy ostatnich drzwiach stał jakiś człowiek.

„Kto to?” — pomyślała niespokojnie pani Izabela i dała parę kroków naprzód. W pierwszej chwili wydało jej się, że to listonosz, bo czapkę miał zsuniętą na tył głowy, jak pan Wiśniewski. Ale to nie by\ pan Wiśniewski, nie mia\ ze sobą torby pełnej listów i przekazów. ale mocno wytartą teczkę, z której sterczały obcegi i świdy.

— Co pan tu robi? — zapytała ostro pani Izabela.

Nieznajomy uśmiechnął się pogodnie. Oczy miał jasne, a w uśmiechu wesolutko marszczyły mu się skronie.

— Ja w sprawie drzwi, szanowna pani.

— W sprawie drzwi? Po nocy?

— Po dniu czy po nocy — nieważne. Ważne, żeby się drzwi otwierały. Prawda, szanowna pani?

— No, tak — zgodziła się pani Izabela.

— No, więc ja w tej sprawie — uśmiechnął się znowu nieznajomy i poprawił pod pachą teczkę, w której zadzwoniły świdy.

— Tu już w tej sprawie była Komisja — powiedziała pani Izabela.

— A wiem, wiem — nieznajomy kiwnął uprzejmie głową. — Właśnie. Przecież Komisja powiedziała, że te drzwi można by otwierać tylko w czwartym wymiarze. Więc przyszedłem coś niecoś w tej

sprawie przesunąć.

Pani Izabela zmarszczyła się.

— Ale kto pan właściwie jest? — zapytała podejrzliwie.

— Seleniusz Przewrotniak — nieznajomy ściągnął z głowy czapkę i uklonił się elegancko. — Majster ślusarski Seleniusz Przewrotniak. Wszystko będzie w porządku. Niech szanowną panią o nic głowa nie boli. Moje uszanowanie.

Odwrócił się od pani Izabeli i ruszył ku wyjściu z galerii. Cienie liści przemykały się po betonowej, zalanej księżycem podłodze. Pani Izabeli wydało się, że majster stoi w miejscu, rozfalowana podłoga umyka mu spod nóg, a on sam ze swoją teczką i świdrami unosi się coraz wyżej i wyżej.

— Panie Przewrotniak! — zawołała pani Izabela. — Panie Przewrotniak !

— Polecam się szanownej pani — odezwało się z wysoka.

Pani Izabela podniosła głowę. Ale nie zobaczyła nikogo. Tylko wielki księżyc stał nad galerią.

JABŁKA, DŻEM I MIOTŁA

— No, chyba dosyć na dziś, Robert, przejdźmy się trochę po galerii — powiedział kuzyn Pawłowski i obaj wyszli z pokoju do mrocznej sionki. Robert oparł się o ścianę, kuzyn zapalił papierosa.

— Która godzina? — zapytał. — Całkiem już ciemno.

— Bo stryj Napoleon zamknął drzwi — powiedział Robert i przeciągnął się pod ścianą. — Ale zasiedzieliśmy się nad robotą! Cały dzień! Naszpikowany jestem tą fizyką od głowy do brzucha!

— Przerobiłem chyba ze trzydzieści stron — westchnął kuzyn Pawłowski. — Szczęście, że ząb zacichł. Bo gdzie mi teraz iść do tej doktor? Cały łeb mi huczy od wzorów.

— Wyrwałbym się z tego choćby na chwilę — powiedział Robert. — Byle gdzie! Choćby w któryś tam wymiar tego Inżyniera — roześmiał się i podskoczył.

— Głupiś — powiedział kuzyn Pawłowski, zadarł głowę i puścił dym w górę. — Jak człowiek jest nafaszerowany tym wszystkim, czego się nakuł, to choćby go nie wiem gdzie wyniosło — to razem z tym wszystkim, co mu się kłębi w głowie! — I zamruczał:

— O czym kuzyn mówi? — zapytał Robert.

Ā — Pierścioneł pani Izabeli

— O swobodnym spadku ruchem przyśpieszonym — powiedział kuzyn Pawłowski wydymając wargi i wydmuchując dym.

— O, to i ja wiem coś o tym! — wykrzyknął Robert. — A teraz, po tej robocie, toby mi się chciało użyć swobodnego spadku! Choćby w czwarty wymiar!

— Aaach! — zamknięte drzwi nagle odskoczyły, przeciąg wdarł się do sionki, zakręcił Robertem, szarpnął kuzynem Pawłowskim, wyrwał ich na galerię i rzucił na balustradę.

— Lecę! Spadam! — wrzasnął Robert. — Kuzynie Pawłowski! Lecę, spadam w dół!

Gdzieś za sobą, nad sobą, może obok usłyszał głos kuzyna Pawłowskiego :

— Spadek swobodny jest ruchem jednostajnie przyśpieszonym!

— Właśnie tak spadam, kuzynie! Coraz prędzej! — krzyczał Robert.

— Wszystko się zgadza! — wołał kuzyn Pawłowski. — Stałość przyśpieszenia wynika z równomiernego, stale jednakowego przyciągania ziemi!

— Więc spadam z równomiernym przyśpieszeniem — wrzasnął Robert. Spadając rozłożył ręce i nagle mocno usiadł na wilgotnej łące. Rozejrzał się nieprzytomnie i krzyknął:

— Kuzynie Pawłowski! Kuzynie Pawłowski!

Zza pnia wysokiego, dziwnie znajomego drzewa ukazał się kuzyn Pawłowski. Szedł ku Robertowi i trzymał się za spodnie z tyłu.

— Uuu — powiedział — mocna rzecz! Szczęście, że ząb się nie odezwał w tym przeciągu!

— Gdzie my jesteśmy? — zapytał Robert podnosząc się z trawy. Przed nimi ciągnęła się rozległa łąka, z daleka widać było pa-

34 sące się owce. Dolatywało tu drzące beczenie, dźwięk dzwonek

i naszczekiwanie psa. Przez łąkę biegła wąska droga, aż ku kępie drzew, z której wyglądał stromy, kryty trzcinową strzechą dach i wysoki komin. Z komina bił dym w błękitnawe, lekko omglone niebo.

— Gdzie my jesteśmy? — powtórzył Robert Rumbaszkiewicz. 35

— Dokładnie nie wiem, ale wydaje mi się, że ma to związek z osiemdziesiątą stroną moich skryptów.

— Dlaczego? — zapytał Robert.

— Wydaje mi się, że tu jest podobny klimat — powiedział kuzyn Pawłowski.

— Jaki?

— Brytyjska mgiełka — mruknął kuzyn Pawłowski. — Chodźmy prędko, Robert. — I ruszył naprzód, ale tak prędko, że Robert musiał za nim biec. A idąc, mruczał coraz prędzej:

Q_JL • f2

— Kuzynie! Niech kuzyn poczeka! Nie wiem, co to jest, ale tutaj nie mogę dogonić kuzyna!

— Nic dziwnego! — odkrzyknął już z bardzo daleka kuzyn Pawłowski. — Przecież jeszcze nie zdajesz Magisterium!

— Kuzynie! Kuzynie! — Robert puścił się za nim pędem, ale kuzyn Pawłowski był już bardzo daleko, pod kępą drzew, z których wyglądał wysoki komin i bił niebieskawy dym.

— Kuzynie! Kuzynie! — Robert biegł bez tchu i nagle potknął się i runął, jak długi, nosem w zieloną trawę.

— Och! — posłyszał nad sobą wesoły głos i mocne ręce postawiły go na nogi. — Och!

Robert spojrział zdziwiony: przed nim stał nieznajomy jegomość o wesołej gębie, piegowaty jak indycze jajo. Spod zniszczonego szerokiego kapelusza zwisały mu do ramion rudawe kosmyki włosów, sięgając kołnierza zszarzałego łosiowego kabata.

— Och — uśmiechnął się do Roberta, pokazując długie zęby. Robert wyciągnął rękę w stronę kępy drzew.

— Co tam jest, proszę pana? — zapytał.

Jegomość gwizdnął i mrugnął okiem.

i

To dom i ogród w Woolsthorp —

Z Londynu w kierunku „West — Nord”.

Kto w ogród ten wejdzie ustronny,

spotka się z panem Newtonem,

z pariem Newtonem z Woolsthorp”.

— Z Izaakem Newtonem? — wytrzeszczył oczy Robert. Wesoły jegomość kiwnął głową.

Pan Izaak Newton z Woolsthorp ma za nic wszelki sport — podobno nawet jest mrukiem, wpadł bowiem w ścisłe nauki — pan Izaak Newton z Woolsthorp.

— Słyszałem — powiedział Robert Rumbaszkiewicz. — Na lekcji fizyki słyszałem! Ale dlaczego wyraża się pan tak dziwnie?

Jegomość ściągnął kapelusz na lewe ucho i roześmiał się na całe gardło.

Jestem Angielski Limeryk — humorem cieszę się szczerem, lecz tej zasady się trzymam, by był to numer w dwóch rymach, czego wymaga Limeryk.

Robert roześmiał się.

— U nas w klasie też się tak zabawiamy! Nawet mieliśmy kółko Limerystów!

— Och! — rozpromienił się Limeryk, a Robert powiedział:

— Niech pan posłucha:

Raz Rumbaszkiewicz z Warszawy nasypał pieprzu do kawy — chciał wykuć się w noc fizyki, ale pękł razem z imbrykiem ten Rumbaszkiewicz z Warszawy.

— Och! Och! Och! — jegomość zatoczył się ze śmiechu, dał susa w bok, rzucił się w trawę i zaczął się w niej turlać tam i z powrotem. — Och! Och! Och! — zaśmiał się, turlał i wykrzykiwał: — Raz Rum-baszkiewicz z Warszawy — nasypał pieprzu do kawy! Och! Och! Och! Chciał wykuć się w noc fizyki, ale pękł razem z imbrykiem — ten Rum-basz-kie-wicz...

— Rum — basz — batrz — trz — rzk! — krzyknęły świerszcze i wyskoczyły z traw wysoko, trzaskając łapkami: — Trzk! trzk!

— Trzk! — odkrzyknął Robert i podskoczył. Zacheiało mu się nagle rzucić na łąkę, turlać się i wykrzykiwać wesoło głupstwa w dwu rymach, jak Limeryk, ale Limeryk turlał się tak prędko, że

wkrótce znikł gdzieś pod widnokrzem.

Śmiech umilkł, tylko świerszcze wytryskiwały w górę i krzesły: — Trzk! Trzk!

Robert rozejrzał się: droga była pusta. Kuzyn Pawłowski gdzieś przepadł. Z komina nad kępą drzew wciąż bił spokojny dym. Robert pobiegł w tę stronę.

Wysokie drzewa przesłaniały dom od strony drogi. Robert obszedł go dookoła. Po drugiej stronie były wąskie uchylone drzwi. Obok drzwi stał gospodarski koszyk i oparta o ścianę miotła. Robert wcisnął się do mrocznej sieni.

— Kto tam? — drzwi w głębi uchylły się i para, pachnąca roz-prażonymi jabłkami, wdarła się do sieni.

— Robert Rumbaszkiewicz — szepnął Robert.

W drzwiach stanęła kobieta w szerokiej zielonej spódnicy, opasana szerokim fartuchem, w białym czepku naciągniętym nisko na czoło. W ręku trzymała parującą chochlę.

— Kto tam? — powtórzyła twardym głosem.

— Robert — szepnął Robert całkiem spłoszony.

— A, to Robert ci na imię! — powiedziała kobieta i postąpiła naprzód, a za nią sunęła smuga pachnącej jabłkowej pary. — No, dobrze, że jesteś! Już myślałam, że Izaak swoim zwyczajem zapomniał zamówić mi chłopaków do pomocy! Bierz koszyk i jazda do sadu po jabłka! Juzem tam tego starszego wyprawiła!

— Tego starszego? — wytrzeszczył oczy Robert. — Jakiego starszego? Po jakie jabłka?

— Dlaczego wytrzeszczasz oczy? Czemu się dziwisz? Jabłkom? Przecież trzeba je prędko zdejmować, bo opadają! Wielki urodzaj na jabłka w tym roku! A i odpadki wybierajcie! Przydadzą się na dżem! Muszę wysmażyć do wieczora jeszcze dwa koszyki! Śpieszcie się! — wykrzykiwała kobieta.

— Dobrze, proszę pani — wyjąkał Robert — pośpieszymy się.

— No, no, pamiętaj, kochasiu! — powiedziała kobieta, pogroziła Robertowi chochlą i wbiegła do kuchni, gdzie coś bulgotało na miedzianej patelni. Kobieta zakręciła w niej chochlą i przy miarowym bulgotaniu gęstego syropu — zaczęła nucić zrzędnie, pod nosem:

Wiele prawd wielkich na świecie — o tym ja dobrze wiem, lecz zawsze przyda się przecież słodki jabłkowy dżem.

Rodzą się czasem geniusze, prawd wielkich poznają treść — lecz lubią dżemy z jabłuszek na chlebie domowym jeść.

Gorący dżem pachniał smacznie, Robert przełknął ślinę. Kobieta obejrzała się na niego od komina.

— Co tak stoisz jak malowany! — krzyknęła. — Jazda do roboty! Koszyk znajdziesz przed drzwiami!

39

Robert podrapał się w ucho, wyszedł z sionki, wziął stojący przy drzwiach koszyk i ruszył przed siebie w sad.

Szedł ścieżką wyłożoną płaskimi kamieniami. Po obu stronach ciągnęły się grzędy kwitnących serdeczników, o żółtych nakrapia-nych kielichach, kepy gęsich stopek, lawendy,4 lwich pyszczków. Wysokie łodygi niebieskich ostrózek wystrzelały w górę, a nad tym całym różnobarwnym pachnącym gąszczem brzęczały pszczoły i trzepotały się motyle.

Doszedł ścieżką do zielonej rozległej murawy, na której rosły gęste jabłonie. Tu ścieżka urwała się: Robert wstąpił na miękką trawę i szedł po niej cicho jak kot.

— Pst, Robert! Robert podniósł głowę.

Na gałęzi jabłoni siedział okrakiem kuzyn Pawłowski, przed sobą powiesił do połowy napełniony koszyk. Wychylał się zza pnia i kiwał na Roberta ręką.

— Pst, chodź tu. On tu jest.

Robert podskoczył, uchwycił się gałęzi, podciągnął się i usiadł na niej obok kuzyna Pawłowskiego. Z gałęzi widać było szeregi jabłonek. Rozciągały nad trawą obciążone owocami gałęzie. Lekki wiatr poruszał liście, a gdy podmuch się wzmaczał — spadały jabłka. Tu i tam słychać było lekkie stuknięcie, jabłka spadały w dół, prosto w zieloną trawę, prosto pomiędzy stokrotki. Na ławce pod pobliską jabłonią siedział młody krępy człowiek. Opuścił głowę, pukle włosów opadały mu na szerokie czoło. Wyciągnął przed siebie nogi i mogło się wydawać, że zapatrzył się w świecące

klamry swoich bucików. Nad nim kołysała się ciężka od jabłek gałąź.

— Pac! — wielkie czerwone jabłko spadło prosto pod nogi młodego człowieka. Podniósł głowę, spojrział w górę i Robert zobaczył jego wpatrzony w owoce, rozszerzone oczy. Wydawało się, że te oczy widzą jakieś niepojęte zjawisko, że ten człowiek nigdy jeszcze nie widział spadającego jabłka. Patrzył w górę przez chwilę, po czym znowu opuścił wzrok na trawnik. Wiatr przeciągnął sadem, gałęzie otrząsnęły się. Spadły jabłka.

Jedno oderwało się tuż nad ławką. Spadało okrągłe, wielkie, spadało prosto w dół i stuknęło o ziemię tuż przy wyciągniętych nogach młodego człowieka, tuż obok jego bucika z klamrą. Młody człowiek wzdrygnął się, pochylił się nad jabłkiem, mocne szczęki poruszyły mu się, jakby zgryzł coś twardego.

— Wszystkie spadają pionowo — powiedział przez zęby. — Żadne nie spada skosem ani bokiem. Wszystkie spadają w kierunku środka ziemi. Więc... — zerwał się z ławki i stał chwilę nieruchomy.

— Więc... — powtórzył szeptem.

— Izaaku! — odezwał się głos od strony domu. — Izaaku, co tam robisz?

— Więc musi istnieć siła przyciągająca, skupiona w środku ziemi, matko! — odkrzyknął Izaak Newton na cały sad.

— Może, Izaaku, może! Ale mógłbyś mi przylutować rączkę do patelni! Bo już za bardzo się kiwał!

— Jabłka spadają zawsze pionowo, matko! — wołał coraz głośniej Izaak Newton.

— Ciekawam, jak by miały spadać? — odpowiedział głos spod domu. — Jak świat światem jabłko leci z jabłoni prosto w dół! Niby kto tego nie widział!

— Ludzie patrzą na świat, a nie widzą wielkich praw w tym wszystkim, co się obok nas dzieje! — wołał Izaak Newton.

— Jabłka spadają prosto w dół, jabłka spadają na linii prostej, bo istnieje siła skupiona w środku ziemi, która przyciąga spadające

42 jabłka! Siła ta musi rozprzestrzeniać się w całym wszechświecie.

— Daj mi spokój ze wszechświatem, Izaaku — fuknął głos od strony domu — i przyślij mi tych chłopaków, co to się zgłosili do roboty w sadzie!

— Jakich chłopaków? — jęknął Izaak Newton i opadł na ławkę pod drzewem. — Nic nie wiem o żadnych chłopakach! Wiem, jestem pewien, że istnieje siła ciężkości!

— Aleja muszę wiedzieć, co się dzieje z tymi chłopakami i z jabłkami na dżem! Chłopaki, chodźcieże wreszcie! Chłopaki! Chłopaki!

Izaak Newton jęknął i zakrył sobie dłońmi oba uszy.

— Musimy tam iść, Robert — szepnął kuzyn Pawłowski. — Izaak Newton musi mieć spokój! I zeskoczył z gałęzi, a za nim Robert z koszykami. Cicho przebiegli sad i wyłożoną kamieniami ścieżkę pośród kwiatowych grządek, nad którymi wciąż łagodnie brzęczały pszczoły i trzepotały się motyle, i zatrzymali się zdyszani przed drzwiami domu pod trzciniową strzechą.

W drzwiach stała kobieta w szerokiej zielonej spódnicy, w fartuchu, w białym czepku nasuniętym na czoło i wymachiwała parującą chochlą.

— Tylko tyle? — krzyknęła zajrzawszy do koszyków. — Zmarnowaliście czas, nicponie! Co wyście robili w sadzie?

— Patrzyliśmy, jak spadają jabłka — wyszeptał spłoszony Robert.

— Patrzyliście? — krzyknęła kobieta. — Gapiliście się, powiedzcie raczej! Patrząc to mój Izaak umie, choć ja nie wszystko rozumiem, co on wypatrzy. — Ale wy — nie robiliście nic!

— Przepraszam. Przekonaliśmy się, jak to było z odkryciem siły ciężkości.

— Już wy nie zawracajcie głowy siłą ciężkości, niedouczeni! — zawołała kobieta. — Mielicie zbierać jabłka! Siła ciężkości — pa-

trzcie ich, mędrków! Ja wam tu zaraz pokażę siłę matczynej miotły, leniuchy!

Podniosła miotłę i zamasyżuje zakręciła nią nad głową.

Wir zerwał się sprzed progu, pęd powietrza wyrzucił koszyki, zakręcił się nad sadem, podbił nogi Roberta i kuzyna Pawłowskiego i ze świstem uniósł ich w górę.

— Uzyskała drugą prędkość kosmiczną! — krzyknął kuzyn Pawłowski. — Udało się jej wyrwać nas ze strefy przyciągania ziemi! Ta prędkość musi mieć kierunek przeciwny do siły ciężenia!

— Oj, ale jak można to zrobić matczyną miotłą? — wrzasnął Robert, podrywając się wciąż w górę.

— Matki potrafią wszystko — jęknął kuzyn Pawłowski ulatując nad zieloną łąkę. — Auuu f

— Co za: Auu! — wołał Robert lecąc za nim. — Co za: Auu!, kuzynie?

— Ząb — jęknął kuzyn Pawłowski. — Znowu odezwał się w tym wilgotnym przeciągu. Aaaa! Uuuu!

— To mgła ciągnie znad łąk, tam w dole! — wołał Robert. — I słońce już zachodzi.

Słońce już zachodziło, niebo poczerwieniało.; skośny blask padł na trawy. Wyskakujące w górę świerszcze świeciły jak złote, a pod migocącymi żdźbłami leżał jegomość w szerokim kapeluszu, śmiał się i wykrzykiwał:

Pewni warszawscy młodzieńcy liznęli fizyki mniej-więcej. Lecz nawet fizyka skończona z każdego nie robi Newtona — westchnęli obaj młodzieńcy.

— Pewnie — jęknął Robert, przymknął oczy, zafalował w po-44 wietrze jak liść i nagle dotknął stopami betonowej podłogi.

— Hau! — ucieszył się Karabin.

Robert obejrzał się. Z uchylonych drzwi numer siedem wyglądał tCarabin, przed drzwiami numer sześć stała pani Izabela, a za nim kuzyn Pawłowski i trzymał się za policzek.

— Uuu — jęczał. — To z przeciągu i z tej wieczornej wilgoci. Robert pochylił się nad balustradą, spojrzął w dół, a potem na panią Izabelę.

— Wszystko spada w dół, prosto — szepnął. — Siła skupiona w środku ziemi przyciąga wszystko, co spada. Wszystko spada po linii prostej — powtórzył i obrócił się ku pani Izabeli.

— Przepraszam panią — zapytał. — Gdzie pani stała wtedy, kiedy zginał ten pierścionek?

— Tam, gdzie ty teraz stoisz, Robercie — powiedziała pani Izabela.

Robert przechylił się przez balustradę. Drobne odpryski księżycowego światła migotały pod drzewem, w dole, ale pierścionka z czerwonym kamieniem tam nie było.

RUM — BRUM — TRA — TA — TA!

— Proszę pięć gramów siarki w proszku i pięć gramów ka — li — chlo — ri — kum — powiedział wyraźnie i dobitnie Michał Rumbaszkiewicz. Stał przed okienkiem w aptece, patrzył prosto w twarz pani Magister i ani mrugnął.

— Nie sprzedajemy — powiedziała pani Magister, podniosła w górę długopis i spojrzała jasnymi oczami na Michała tak, jakby mu chciała tym długopisem zrobić zastrzyk.

— Nnnie? — Michał przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

W aptece było ze sześć osób. Stały za Michałem w ogonku do okienka.

— Słusznie — powiedział starszy pan tuż za Michałem. Był już siwy, ale gdy Michał spojrzął na niego, zrozumiał, że musiał pamiętać

z dawnych lat to i owo i że na pewno nie przemówi za nim do pani Magister.

— Olaboga! — westchnęła kobieta z wyładowaną siatką, stojąca za starszym panem. — To już chyba do końca świata chłopaki nie oduczą się pukania kaliklorkiem!

Pani Magister stuknęła długopisem.

— Kto następny?

Michał prześliznął się po gładkiej podłodze do drzwi apteki i wyszedł na ulicę.

— Michał! Michał! Michał!

Michał, obejrzał się. Chodnikiem biegły trzy Złudne: Ala, Cela i Maja.

— Co — tu — ro — bisz Mi — chał? — nuciły podskakując.

— Mam zagadnienie — Michał zmarszczył nos.

— Cha — cha — cha! — roześmiała się Ala i odrzuciła w tył głowę jak żrebak

— Zagadnienie pod apteką? — podskoczyła Cela.

— A jakie masz zagadnienie, Michał? — Maja spojrziała na Michała, przechyliła głowę na ramię, uśmiechnęła się i pod lewym okiem zrobił się jej mały dołek.

Michał chrząknął i spojrzął na Maję.

— Myśle — powiedział — że pierścionek pani Izabeli mógł ugrzęznąć w ziemi.
— Ugrzęznąć w ziemi? — zdziwiła się Cela. Michał nadał policzki.
— Phu — powiedział. — Niby to tak nie bywa? Stryj Rumbasz-kiewicz mi opowiadał, jak to partyzancka pułkowa kasa ugrzęzła w ziemi, zapadła się, a potem przesunęła o dziesięć kilometrów na północny zachód!

Dołeczek pod okiem Mai pogłębił się.

— Pan Rumbasz-kiewicz tak powiada? — Ala spojrzała na Celę, a Cela na Alę.

— I jeszcze stryj powiedział: — ciągnął dalej Michał — „Ziemię bym poruszył, żeby się ten pierścionek znalazł”.

— No to co? — zapytała Ala.

— No to trzeba poruszyć ziemię pod drzewem. Wtedy ten pierścionek wyleci.

— Wyleci? — zmarszczyła się Cela.

— Z ziemią wyleci — powiedział Michał.

Ala i Cela parsknęły śmiechem i wszystkie trzy spojrzały z góry na 47

Michała. Wszystkie trzy były od niego wyższe, ale teraz wydawało się Michałowi, że jeszcze urosły. Tylko Maja, która pochyliła się ku niemu, nie wydała mu się taka wysoka. Jej wesoly dołeczek w policzku był tuż nad jego oczami.

— Idź ty już do domu, Michał — powiedziała Ala i odbiegła, za nią Cela, a za Celą Maja.

— Maja — szepnął Michał. Maja zatrzymała się.

— Maja, ja muszę to wypróbować — powiedział Michał.

— Musisz? — zapytała Maja przechylając głowę.

— Słuchaj: mnie tego nie sprzedali — powiedział Michał.

— I mnie nie sprzedadzą — powiedziała Maja.

— A może? — szepnął Michał i patrzył na Maję w skupieniu. — Przechyl głowę i uśmiechnij się. Spróbuj.

— Znowu będzie awantura, jak wtedy, kiedyś nie wiadomo dlaczego rzucił petardę w śmietnik — zmarszczyła się Maja.

— Maja, teraz wiem, dlaczego. Teraz mi przecież o coś chodzi! O ten pierścionek. I o panią Izabelę. I to już ostatniusieńki raz.

— Ech — roześmiała się Maja. — Kręcisz. Po prostu masz chęć sobie palnąć!

Oczy Michała zabłysły, wyprostował się, podniósł głowę. Teraz on jakby urosł.

— Oj palnąłbym sobie, palnął! — powiedział grubszym niż zwykle głosem.

— Ty, chłopaczysko! — powiedziała Maja i nagle zakręciła się i odbiegła.

Michał obejrzał się za nią. Ale przesłonili ją widać przechodnie, bo gdzieś mu się zapodziała.

Michał został sam na chodniku. Zakręcił się raz i drugi, przełożył teczkę z prawej ręki do lewej, zamachał wor-48 kiem ze szkolnymi kapciami.

I

]

J

/

/

fA ч,- K

/ Л, Гi \ >-----

V"

1/

/

чи \

//iv* ^ Л\

—L Л**\~^ ' ,»'-Г' **чЛ

ж- '■ "Y*

^1-4*—*~

<^\

j ü

\ y'. I

/

R

--^ / -

π

< v _^£

Wił

I !

\

. I \ i

И,

— Michał!

Michał podniósł głowę. To była Maja. Pochyliła się, wsunęła mu w dłoń paczuszkę i odeszła oglądając się raz po raz.

— Dziękuję, Maja! — wykrzyknął Michał, wsadził paczuszkę do kieszeni i popędził do domu.

Drzwi były otwarte, z głębi mieszkania słychać było stukot maszyny do pisania.

„Stryj rąbie ten swój pamiętnik” — pomyślał Michał i wszedł 49

- Picricionck pani l/abeli

na palcach do pokoju. Pan Napoleon Rumbaszkiewicz obejrzał się, otarł pot z czoła chustką i poprawił szelki.

— No co? To już po lekcjach? — zapytał.

— Już — powiedział Michał. — A jak dziś stryjkowi idzie?

— Jako tako — sapnął pan Napoleon. — Tylko gorące-straszne. Trzeba by w końcu te zasłony do okien wykupić z pralni, bo słońce praży mi na stół przez okno jak kongrewska raca!

— Kongrewska raca?

— Ano, były takie race. Niejaki Congreve, Anglik, je wymyślił i prażył w wojska Napoleona z angielskich okrętów, z kanału.

— Kiedy to było? — Michał przysiadł na krzeselku. — Czy na tej wojnie, co to był na niej, stryjek?

— Oj, Michał, Michał! — wykrzyknął pan Napoleon. — To było już z górą sto pięćdziesiąt lat temu! Przecież mówię o wojskach Napoleona!

— Ale stryjek też Napoleon!

Pan Rumbaszkiewicz postawił wielkie oczy.

— Oj, Michał, Michał! Przecież mówię o Napoleonie Bonaparte, cesarzu Francuzów. O tym od szwoleżerów księcia Poniatowskiego, wiesz?

— To już wiem — ucieszył się Michał. — Wiem z książek! A stryjek wie także z książek o tych kongrewskich racach?

— Iz książek, ale nie tylko z książek. Nasz krewniak, sprzed tych stu pięćdziesięciu lat, był w wojsku Napoleona. I zostawił pamiętnik, ale cóż, pamiętnik na wojnie się spalił — westchnął pan Napoleon.

— I tam było o tych racach? — zapytał Michał.

— Było. Bo ten nasz krewniak bronił z wojskiem Napoleona fortu numer; sześć we Francji, nad kanałem La Manche, a Anglicy

50 prażyli w ten fort kongrewskimi racami z okrętów.

— Fiu! — gwizdnął Michał.

— Ba! — powiedział pan Napoleon. — Może to po tym Rumbaszkiewiczuz mamy żyłkę do wojowania?

Oczy Michała zabłysły.

Stryj Napoleon spojrział na niego bystrze
4ił się do maszyny.

— No, idź do kuchni, Michał — powiedział wygotowany obiad.

W kuchni przy nakrytym stole

ski. Obaj mieli przed sobą rozłożony talerz. Raz nawet Robert trafił przed swym nakryciem i zab

— Czy kuzyn słyszał mnie znad talerza.

— Hmm? — powiedział

— Czy kuzyn Michał.

— Coś słyszałem — powiedział, wyciągnął długopis z kit.

— Az czego są te race? — zapytał

— Hmm? — powiedział kuzyn

— Z czego są te race? — zapytał Michał Robert oderwał wzrok od podręcznika

— Z czego są te race, kuzynie? — zapytał

— Z kalichlorku — powiedział zamyślony dopisując coś na skrypcie.

Michałowi zrobiło się gorąco. Wsadził dłoń w kieszeń, palcami małą paczuszkę, którą dała mu Maja.

— Ja już - zjadłem, dziękuję — powiedział bardzo uprzejmie i wstał od stołu.

4»

.

— Dziękuję — powtórzyli obojętnie, nie podnosząc głów. Robert i kuzyn Pawłowski.

Michał wyszedł z kuchni i natknął się na stryja Rumbaszkiewicza.

— Weź się od razu do lekcji, Michał — powiedział.

Więc Michał wziął się do lekcji, potem poszedł po chleb do sklepika, potem po papierosy dla kuzyna, a potem chłopcy wciągnęli go do gry w piłkę. Sam nie wiedział, kiedy dzień minął i w mieszkaniu zmierzchno.

— No, Michał — powiedział stryj Napoleon. — Przeleć się teraz z Karabinem i spać!

— Hau! — ucieszył się Karabin, zaczął podskakiwać i szczeleć, Michał złapał smycz i przez przeczornie nie domknięte drzwi numer siedem obaj wybiegli na podwórko.

Karabin zatrzymał się pod drzewem, więc i Michał się zatrzymał. Obszedł drzewo dookoła, rozejrzał się dokładnie i przesunął bliżej leżący opodal kamień. Drzewo szumiało tak jakoś przymilnie, listeczki trzepotały się zachęcająco. Michał podniósł głowę. Poprzez liście zobaczył na galerii Maję. Pochyliła się, jasne włosy przestłoniły jej twarz i jedno oko.

— Maja — powiedział Michał.

Maja zaśmiała się niegłośno i znikła w drzwiach numer osiem. — Hau! Hau! — ucieszył się z czegoś Karabin, wyrwał się ze smyczą, wbiegł na podwórkowy trawnik i skakał po nim, raz po raz trącając nosem żółtą trawę.

— Może on szuka pierścionka pani Izabeli? — szepnął Michał i nagle pomyślał, że, prawdę mówiąc, wcale by nie chciał, aby Karabin ten pierścionek znalazł, tak zwyczajnie, na trawniku, choć wtedy Michał by go odniósł i w jakiś sposób ostatecznie mógłby być z tego dumny. Nie, to powinno stać się jakoś inaczej. Huczniej, po męsku, nie po psiemu! Wspanialej!

— Michał, spać! — huknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz przechylając się przez balustradę galerii. — Na górę! W te pędy! Do łazienki!

Do łazienki Michał nie wziął z sobą małej paczuszki. „Jeszcze zamoknie — pomyślał przezornie i wsunął ją pod poduszkę. — Po kąpieli muszę to wymieszać. Kiedy już nikt nie będzie się kręcił”. Po kąpieli usiadł na łóżku i dopiero teraz wyciągnął paczuszkę spod poduszki. Nie mógł zapalić światła, bo zaraz wpadłby do pokoju pan Napoleon. Ale księżyc świecił i przez podłogę, aż na łóżko Michała, biegła smuga niżącego blasku. Michał wyciągnął się na brzuchu, wysypał proszek z dwóch torebek do chustki do nosa, wymieszał go dokładnie, wysypał wszystko razem do torebki i czekał. Czekał długo, aż się wszystko uspokoi, aż umilknie maszyna do pisania stryja Napoleona, aż Robert i kuzyn Pawłowski złożą skrypty. Obrócił się na wznak i leżał spokojnie, patrząc na mżącą smugę światła. Mżenie natężyło się, gęstniało coraz bardziej i wreszcie zaczęło się układać w długi wał, w wał czy w mur warowny, a na nim zamajaczyły czarne zarysy armat. Michał leżał nieruchomo. Nie, nie był zdziwiony: co wieczór, zwłaszcza gdy się naczytał o szwoleżerach,

grenadierach, wojnach, potyczkach i armatach — co wieczór napływały do pokoju zarysy fortec, skał hiszpańskich, obronnych murów. A potem zjawiali się żołnierze podobni do tych, których trzymał zamkniętych w dziesięciu pudełkach, w szufladzie: grenadierzy, szwoleżerowie, kosynierzy, żołnierze z ostatniej wojny, żołnierze ze wszystkich frontów.

I teraz oto stanęli na wale przy armatach żołnierze w zielonych kurtkach, przez które biegły na krzyż białe rzemienie, w futrzanych czapach Cesarskich Artylerzystów. Gdzieś daleko zawarczało coś, jak bęben wojenny:

— Rum — brum — tra — ta — ta!

— Rum — brum — tra — ta — ta! —: Cesarscy Artylerzyści ruszyli szeregami ku drzwiom pokoju, drzwi się otworzyły, artylerzyści weszli do sionki.

— Rum — brum — tra — ta — ta — żołnierskie buty wybijały marszowy takt w sieni mieszkania numer siedem.

— Hau? — zdziwił się Karabin, który tam leżał na starym kocu.

— I — dzie — my bro — nić for — tu nu — mer sześć — mówili miarowo żołnierze, a wtórzące im: — Rum — brum — tra — ta — ta! — wciąż grało w uszach Michała.

Zsunął się z łóżka, wciągnął trampki i spodenki, do kieszeni wsadził małą paczuszkę i prześliznął się do sieni.

Drzwi były uchylone, przez szparę widać było blask przesuwających się bagnetów i dobiegały miarowe, stłumione głosy.

— Wyszliśmy przez drzwi, które otwierają się w czwartym wy — mia — rze!

— Rum — brum — tra — ta — ta!

— Idziemy bronić for — tu nu — mer sześć!

— Rum — brum — tra — ta — ta!

— Hau! Hau! — ucieszył się Karabin.

— Cicho! — szepnął Michał i przez uchylone drzwi numer siedem wysunął się na galerię, a Karabin za nim.

I oto znaleźli się obaj na fortecznym murze. Na prawo i na lewo mur załamywał się pod kątem prostym. Na jego frontowym odcinku stały armaty, a przy armatach — Cesarscy Artylerzyści.

— Hau! — krzyknął Karabin.

Jeden z Artylerzystów odwrócił się i poprawiając na piersi krzyżujące się pasy szedł ku Michałowi. Płowe wąsy poruszały mu się jak żądła. Michał stanął na baczność, Karabin przysiadł na zadku.

— Czyj to kundel? — zapytał Cesarski Artylerzysta. 54 — Mój — odpowiedział odważnie Michał.

— A ktoś ty taki?

— Michał Rumbaszkiwicz.

— Rumbaszkiwicz? — wąsаты Artylerzysta otworzył szeroko niebieskie oczy.

— Rumbaszkiwicz — kiwnął głową Michał. Wojak szarpnął się za lewy wąs.

— Bo widzisz, chłopaku — powiedział — ja także jestem Rumbaszkiwicz. Cesarski Artylerzysta.

— A ja — Rumbaszkiwicz z trzeciej podstawowej.

— A gdzie jest ta jednostka? — zapytał Cesarski Artylerzysta.

— Na ulicy Słonecznej numer osiemdziesiąt.

— Nie słyszałem — powiedział Cesarski Artylerzysta. — Ale mniejsza z tym. Myśmy chyba krewniacy, co?

— Ma się rozumieć, że krewniacy! — powiedział Michał. Oczy mu się świeciły, policzki poczerwieniały, nie spuszczał oczu z żołnierza, z jego zielonej kurty, białych pasów, futrzanej czapy i wstążeczki orderowej na jego szerokiej piersi.

— Podobasz mi się! — Cesarski Artylerzysta palnął w ramię Michała. — Ale nie kręć się zanadto po forcie numer sześć, bo tu niebezpiecznie.

— Kongrewskie race, co? — zapytał Michał i mrugnął.

— Właśnie — kiwnął głową Cesarski Artylerzysta. — Widzę, że znasz się na rzeczy! Skoro tak, pokażę ci, jak się przedstawia nasze położenie. Chodź.

I ruszył w stronę fortecznego muru, a za nim Michał i Karabin.

— Spójrz — powiedział Artylerzysta i wskazał ręką przed siebie,
na północny zachód.

Michał pochylił się za mur.

Ależ pod tym murem rośnie nasze drzewo! — zawołał.

— Jakie nasze? — zdziwił się Cesarski Artylerzysta. - To przecież kasztan francuski.

— Ale ja to drzewo znam! — zawołał Michał. — To drzewo spod galeriowca!

— Hau! — przyświadczył Karabin.

— Akurat — wzruszył ramionami żołnierz. — Cóż ci się śni, chłopaku! To drzewo spod fortu
numer sześć!

Michał przechylił się jeszcze bardziej. Tak: to na pewno było to drzewo, ale za nim nie było
podwórka. Ciągnęła się tam płaszczyna, na której sterczały opalone drzewa i krzaki, a smugi
martwego popiołu ciągnęły się aż do połowy ławicy nadbrzeżnego piasku. Za ławicą widać było
morze.

— Widzisz? — Cesarski Artylerzysta pociągnął za łokieć Michała.

Na morze wypłynął okręt. Wszystkie żagle miał rozwinięte i sunął szybko, prawą burtą zwrócony
do brzegu. Zatrzymał się, zakołysał, jakby nabierał tchu, chwycił powietrze w żagle, żagle wzduły
się i nagle z pokładu wytrysnął długi błysk, przebiegł nad wodą, nadmorskim piachem, osmoloną
płaszczyną, w stronę fortu numer sześć.

Wielki huk wstrząsnął murem, fort jakby przypadł do ziemi, ziemia zadrżała, ogień przeleciał górą.
— Psiakość! Znowu raca kongrewska! — krzyknął Cesarski Artylerzysta, a żołnierze odezwali się
chórem:

Nie mamy rac, kongrewskich rac —
ciężka do zwycięstw droga.

Bo nieprzyjaciół racą: — Pac!

a my kongrewskich nie mamy rac,
by nimi prażyć wroga!

Rum — brum — tra — ta — ta! Nie mamy rac —
więc nie prażymy wroga!

— Ale ja mam! — wykrzyknął Michał Rumbaszkiewicz, a wszyscy żołnierze odwrócili się do
niego frontem.

— Ja mam! — powtórzył Michał, sięgnął po paczuszkę i wyciągnął ją na dłoni.

— Do licha, to kalichlorek! — wykrzyknął Rumbaszkiewicz--Artylerzysta.

— Ach, tak bym sobie palnął! — wykrzyknął Michał Rumbaszkiewicz z trzeciej podstawowej, a
żołnierze odwrócili się do niego frontem i odezwali się chórem:

Skoro chcesz palnąć — licz się z tym,
że ci odpalną w portki
i będzie trzask, i huk, i dym.

Rum — brum — tra — ta! Więc licz się z tym,
wstrzymaj się z kalichlorkiem!

— Ooo — zmartwił się Michał, a żołnierze spojrzeli srogo spod futrzanych czap i odpowiedzieli
chórem:

Jeszcześ nie doszedł do tych lat,
toć jesteś jeszcze smykiem,
więc nie bierz się do takich spraw.

Rum — brum — tra — ta! Toć nie masz lat,
by być pirotechnikiem!

— Ach, ale tak bym sobie palnął! — krzyknął Michał jeszcze głośniej.

Żołnierze wyciągnęli karabiny naprzód i ruszyli ku niemu, mówiąc zimno i miarowo:

Wyniknąć może Bóg wie co — kalectwo, krew, rozpacz, groza! Więc oddaj kalichlorek, bo: —

Rum — brum — tra — ta! Bo wiesz ty co? 58 Czeka cię za to koza.

— Rum — brum — tra — ta — ta! — huczał bęben wojskowy, żołnierze szli naprzód z
wyciągniętymi bagnietami. Michał skulił się, przebiegł skulony pod murem i skrył się za węglem. Z

daleka słyszał warkot bębna i odgłos miarowych kroków, serce skakało mu w piersi, ręka świerzbiała, było mu gorąco i szeptał:

— Ach, jakbym sobie palnął. Jakbym sobie palnął... Podniósł się znowu wyjrzał za mur. Pod murem szumiało znajome drzewo.

— A może tu przesunął się pierścionek pani Izabeli? — przemknęło mu przez myśl. — Może przesunął się na północny zachód, jak kasa pułkowa stryja Rumbaszkiewicza?

Zrobiło mu się jeszcze goręcej, uszy go zapiekły, serce zabiło: — Rum — brum — tra — ta — ta — i wysunął za mur rękę z kali-chlorkiem.

— Nie rzucaj, Michał! Nie rzucaj! — krzyknęły nad nim trzy głosy.

Michał spojrział w górę.

Nad nim, na flanku fortu numer sześć, stały trzy Złudne: Ala, Cela i Maja. Wiatr bijący od płaszczyzny, od morza, przesłaniał im twarze pasmami jasnych włosów. Podniosły ręce w górę, krzyczały rozpaczliwie:

— Nie rzucaj, Michał, nie rzucaj! Przecież i my tu jesteśmy! I my!

— Rumm — brum — biły bębny czy może serce Michała?

— Palnę! — wrzasnął rozgorzały i rzucił kalichlorek w dół, pod drzewo, pod fort numer sześć.

Huk i wstrząs wyrwały nad mur bryły ziemi, strzępy trawy, cegły, żelastwo, kamienie, liście, gałązki i blaszane wiaderko Darusia. Wszystko to wystrzeliło w górę, opadło i dym przesłonił świat. W czarnych kłębach wzbił się wielki wiatr i rzucił Michałem w górę. Nad nim, wyżej jeszcze, uniosły się trzy migocące postacie, niby ulatujące ryby o rozwianych płowych skrzelałach. Umykały w górę, w górę, płynąc z wielkim powietrznym prądem.

— Michał! Michał! Michał!

— Ala! Cela! Maja! Maja! Maja! — wołał Michał lecąc w chłód, w wielką ciemność.

PIERŚCIEN

Michał rozłożył ręce i zdał się na wielki prąd. Leciał w ciemności, serce tłukło w nim mocno, ciemność falowała.

— Ala! Cela! Maja! Maja! Maja! — wołał Michał, głos jego roznosił się szeroko, ciemność ugięła się jak naciągnięte płótno, coś dzwoniło mu prosto w uszy: — Bing — Bang! Bing! — Bang! — Michał ścisnął powieki, prąd kołysał go.

— Ala! Cela! Maja!

Prąd jakby zlagodniał. Michał leciał wolniej. Teraz kołysało go na boki i to już było dużo przyjemniejsze. Otworzył oczy i zobaczył gwiazdy. Jedne połyskiwały tu i tam, rozsypane, rozproszone w wielkiej nocy, inne skupione były w zbiorowiska rozświetlone mlecznym blaskiem. Za gwiazdami widać było jakieś niewyraźne zarysy. Prąd znosił ku nim Michała, kołysał coraz wolniej, wreszcie ustał całkiem.

Michał zatrzymał się w czarnej przestrzeni.

— Brr? — odezwało się i zobaczył przed sobą łeb niedźwiedzi. — Brr — powtórzyła Niedźwiedzica i poruszyła ogonem. Na końcu jej ogona, na bokach, na karku świeciły gwiazdy. — Brr, ktoś ty?

Michał Rumbaszkiewicz z trzeciej klasy podstawowej — powiedział Michał dokładnie.

— Brr — zastanowiła się Niedźwiedzica. — To skąd się tu wzięłeś?

— Wyleciałem na kalichlorku — powiedział Michał.

— Niemożliwe — pokręciła łbem Niedźwiedzica. — To nie mógł być kalichlorek.

— Maja mi go kupiła — obruszył się Michał.

— Maja? — powiedziała Niedźwiedzica. — Nie radzę ci wierzyć Mai!

— To pani ją zna? — zapytał Michał bardzo grzecznie.

— Ma się rozumieć — powiedziała Niedźwiedzica. — I ją, i całą rodzinę.

— Zna pani i Alę, i Celę? — zaciekawił się Michał.

— Chcesz powiedzieć Alcjone i Celene? Idiotyczne są te modne skróty! Oczywiście, że je znam.

Znam całe zbiorowisko gwiazd-ple-jad: Alcjone, Celene, Merope, Elektre, Tajgete, Asterope i Maje. To płocze gwiazdki!

— Gwiazdki? — wyjąkał Michał. — Dziewczynki!
— Ja chyba wiem lepiej! — fuknęła Niedźwiedzica. — Mieszkam na niebie razem z nimi!
— E tam — zaperzył się Michał. — One mieszkają w galeriowcu. Numer mieszkania osiem! Obok nas. Tam gdzie się drzwi zacinają.
— Zacinają się, ale i otwierają w czwartym wymiarze — powiedziała Niedźwiedzica. — Sam pan Inżynier o tym mówił, a majster Seleniusz...
— Co za majster Seleniusz? — zapytał Michał. — Nic nie wiem o majstrze Seleniuszu!
— Mniejsza z tym — sapnęła Niedźwiedzica. — Zaczynam rozumieć, skąd się tu wzięłeś. Co za historia!
— Niech się pani nie denerwuje, pani Niedźwiedzico! — odezwał się w górze znajomy głos i Michał zobaczył Maję. Płynęła bokiem z głębi nocy, rozgarniała rękami mleczne blaski, osypana migotliwym
62 pyłem, cała srebrna i świecąca.
— Maja! Maja! — krzyknął Michał, wymachując ku niej ręką. — Maja, coś ty mi kupiła? Maja spłynęła w dół, stanęła przy nim, przechyliła głowę i uśmiechnęła się. Pod jej lewym okiem zrobił się dołek, w który natychmiast wskoczyła maleńka gwiazdka.
— Coś ty mi kupiła? — powtórzył Michał łagodniej. — Przecież to był straszny wybuch! Wyleciało nawet wiaderko Darusia! Ale pierścionek pani Izabeli się nie znalazł — westchnął.
— Pierścień jest tu — uśmiechnęła się Maja.
— Pierścień? Tu? Gdzie? — zapytał Michał.
— Daj rękę — uśmiechnęła się Maja i wyciągnęła ku niemu dłoń. Michał podał jej rękę, a Maja odbiła się od falującej ciemności i poderwała się w górę ciągnąc za sobą Michała. Fala ciemności zalała mu oczy — przedarli się przez nią gwałtownie i nagle wypłynęli na spokojną ciemną przestrzeń. Przed nimi, w głębi, świeciło wielkie kuliste ciało niebieskie, a wokół niego wirował pierścień blasku.
— Dziadku Saturnie! Ho-ooo! — zawołała Maja.
— Ho-ooo — odezwał się głos jak z ogromnej beczki, dudniący, zachrypnięty.
— Znowu masz chrypkę, dziadku Saturnie — westchnęła Maja i zatrzymała się przed kulistym olbrzymem.
— Ni stąd, ni zowąd zrobił się straszny przeciąg, więc znowu zachryplem. Musiał znowu ktoś drzwi otworzyć na czwarty wymiar! — powiedział Saturn pochrzając. — Przyznaj się, to pewno ty, Maja?
Maja zaśmiała się cichutko i przechyliła głowę.
— Zdaje się, że Seleniusz Przewrotniak przesadził, dziadku — powiedziała. — Teraz drzwi na galerii otwierają się raz po raz!
— Ciągoty przestrzeni! — powiedział Saturn. — Ale kogoś tu znowu przyprowadziła? Co to za chłopak?
— To Michał Rumbaszkiewicz z trzeciej podstawowej, dziadku! — powiedziała Maja. — Ogromnie interesują go pierścienie, więc mu chciałam pokazać twój, chyba największy w kosmosie.
— Hooo! — zawołał Saturn, chrypiąc rozgłośnie. — Hooo!
— Hooo! Hooooo! — obracał się świetlisty pierścień, migocąc tak pięknie i tak mocno, że aż Michał musiał przymknąć oczy.
— Chyba, że mój pierścień jest największy w kosmosie! — wołał dziadzio Saturn. — Ma dwieście siedemdziesiąt sześć tysięcy siedemset kilometrów średnicy!
— Fiuu! — gwizdnął Michał.
— A pewno, że „fiu”! — zachrypiał Saturn. — Przypatrz się mojemu pierścieniowi, chłopaku! Pierścień obracał się, migotał wspaniały, wielki, a Michał szepnął:
— Tak, ale to nie jest pierścionek pani Izabeli.
— Co wart pierścionek jakiejś pani Izabeli przy pierścieniu Saturna! — fuknął chrypliwie dziadek Saturn.
— Ale nasza pani Izabela to także nie byle kto, proszę pana! — obruszył się Michał. — To sławna

na cały świat śpiewaczka.

— Ale ja jestem dziadek Saturn, sławny na cały kosmos! — wołał dziadzio Saturn.

— Nie sprzeciwiaj mu się, Michał — szepnęła Maja. — On łatwo wpada w złość. — I odciągnęła Michała w tył.

— Ten smarkacz będzie mi tu wyjeżdżał z jakąś panią Izabelą i jej pierścionkiem! — wrzeszczał za nimi dziadek Saturn. I nagle zaczął podśpiewywać na całą ogromną noc:

Takie pierścienie — ho — o! —

na pewno nie są zbyt częste,

bo średnicy w kilometrach ma to —

dwieście-siedemdziesiąt-sześć-tysięcy-siedemset!

II<

— Uciekajmy! Póki sobie śpiewa, to się nie złości — szepnęła Maja i pociągnęła za sobą Michała na wielkie, spokojne, mocne fale.

Michał płynął za nią przez ciemność, w jego palcach plątały się smugi blasku, miękkie jak wodorosty, małe srebrne odpryski czepiały mu się włosów, zaglądały do oczu.

— Hau! Hau! — odezwało się nagle gdzieś przed nimi.

— Karabin! — krzyknął Michał. — Pójdź tu, Karabin!

— Haa! — odpowiedział Karabin żałośnie, zapiszczał, zasko-wyczał i nagle całe niebo wypełniło się wielkim ujadaniem.

— Wpadł między gwiazdne Psy Gończe! — krzyknęła Maja. — Prędeż, Michał! Musimy je rozpędzić!

Rozbijając ciemność rękami rzucili się naprzód, przechylili się w bok, płynęli kraulem, wyrzucając nad głowy mleczną, połyskliwą mgłę.

— Hau! Hau! Wrrr! — krzyczały Gwiazdne Psy Gończe.

— Hau! Hau! — przyzywał Karabin.

Połyskliwa mgła zrzędła, fale uspokoiły się — i nagle znaleźli się przed wielkim kłębem zbitych migotów, który obracał się, a z jego środka buchał psi jazgot, warkot, szczekanie, ujadanie i skomlenie.

— A pójdiesz! A pójdiesz! — Maja pochyliła się nad kłębem i waliła w blaski płaską dłonią, a z kłęba wylatywały kawały migocącej srebrnej sierści. — A pójdiesz!

Nagle ręka Mai zagłębiła się po łokieć w świetliste kłębowisko i wyciągnęła z niego za kark Karabiną.

— Hau — iii — pisnął żałośnie, przysiadł, trzepnął uszami i polizał Maję w kolano. Na jego srebrnym wywieszonym jęzorze zalśniły odpryski gwiazd.

— Karabin! Mój Karabin! Mój Karabinek — głąskał go Michał, a Karabin wywiesił świetlisty jęzor i dyszał ciężko.

— Wrrr! Wrrr! — odzywało się wciąż w gwiazdnym kłębie.

65

5 - Pierścionek pani I/abeli

— Zabierajmy się stąd, Michał! — krzyknęła Maja. — Te psiska rozjuszyły się i gdybyśmy pozostali dłużej tutaj, nie wiadomo, czym by się to mogło skończyć dla Karabina! Jazda! W dół!

— Ale dokąd?

— Do domu! — zawołała Maja.

— Hau! — ucieszył się Karabin i nagle puścił się po pochyłości szafirów, jak po podwórkowym trawniku, podskakując, poszczekując, trącąc nosem rozproszone gwiazdy, a spod łap wytryskiwały mu świecące smugi.

— A my za nim, Michał! — krzyknęła Maja, wyciągnęła ręce, złączyła dłonie nad głową i nurknęła w noc jak ryba, a Michał za nią.

Gwiazdy oddalały się, bladły, przed nimi, gdzieś w dole, naszcze-kiwał Karabin.

— Do domu! Do domu! — wołała Maja i nagle zaczęła nucić.

Kiedy przez okno księżyc świeci, możemy wyrwać się, ulecieć w niebo gwiazdziste i otwarte:

Możemy pływać po szafirach — na wyżach, niżach i na wirach i w gwiazdne się zabawiać żarty.

Możemy krążyć pośród planet i zbierać blaski rozsypane, w tych blaskach — sami zaświecimy.
Przez taką noc będziemy — srebrni, ulotni, górni, niepotrzebni. Możemy wzlecieć — póki śnimy.
Prąd kołysał nimi łagodnie, spływali w dół.
— Maja! Zaczekaj, Maja! Wrócimy razem! Z głębi ciemności spływały ku nim Ala i Cela.

ОД/ i.

frmULLD II ГИГГ.

— Prędeż! Prędeż! — nawoływała Maja. — Prędeż, bo się spóźnimy!

— Śpieszymy się! Śpieszymy się! — wołały Ala i Cela.

— Hau! Hau! — naglił Karabin.

— Już wracamy, już! — odkrzykiwał Michał.

Gwiazdy oddaliły się, zostały nad nimi w górze, wysoko. W dole rozbłysły wątle światła. I nagle stamtąd, z ziemi, wytrysnął długi błysk i coś huknęło głucho.

— Kongrewska raca! — krzyknął Michał.

— Cha — cha — cha! — roześmiały się na całe niebo Ala, Cela i Maja.

Nagle umilkły. Wielka fala ciemności zagarnęła wszystkich czworo i uniosła ich w dół, w dół, w dół.

— Rum — brum — tra — ta — ta — w łagodnym szmerze odezwały się miarowe kroki Cesarskich Artylerzystów. Chór głosów zabrzmiał miarowo, jak w marszu.

— Tu — fort — numer — sześć! Tu — fort — numer — sześć! Wojskowy bęben zahuczał — głosy wbiły się w górę:

Nie mamy rac — kongrewskich rac — ciężka do zwycięstw droga. Bo nieprzyjaciel racą: — Pac!
— a my kongrewskich nie mamy rac.

— Rum — brum — tra — ta — ta! — grał bęben wojskowy. Przy warkocie bębna spadli w ciemność, w ciszę.

— Słyszycie? — rozległ się nagle w ciemności głos Mai.—To szumi drzewo przy galeriowcu!
Tak: z daleka słyhać było szum drzewa. — Hau — Hau! — nawoływał Karabin. Ciemna fala zakołysała się, stopy Michała opar-68 ły się o betonową podłogę. Otworzył oczy.

Stał na galerii, oparty o balustradę. W uszach miał jeszcze poszum łagodnej fali, ale serce biło mu twardo: — Rum — brum — tra — ta — ta! — Wsunął rękę w kieszeń i wyczuł palcami małą paczuszkę. Była tam jeszcze!

— Ach, tak bym sobie palną! — szepnął.

Pochylił się przez balustradę i celując w kamień pod drzewem, cisnął paczuszkę z wielkim zamachem w dół.

— Hau!. — krzyknął Karabin.

Ale był to jedyny głośny odzew po tym wszystkim.

— Michał!

Michał obejrzał się i zobaczył za sobą Maję. Przechyliła głowę i patrzyła na niego. Za Mają przysiadł Karabin, zipał i wywiesił jęzor, połyskujący w świetle księżyca.

— Coś ty mi kupiła, Maja? — zawołał Michał.

Maja nie odpowiedziała, tylko jej oczy zwięzły się w szparki, a kąciki ust podniosły.

— Ty oszukanico! — krzyknął Michał i rzucił się ku niej z pięścią.

— Hau! — Karabin wdarł się susem pomiędzy nich. — Hau! Hau!

Z drzwi numer siedem wypadł pan Napoleon Rumbaszkiewicz i pochylił uniesioną pięść Michała.

— Ach ty! — krzyknął. — Z pięściami? Na panienkę? Tego nigdy żaden Rumbaszkiewicz nie robi!
Wstyd! — i pochwycił Michała za ucho.

— Au! — skulił się Michał.

Wtedy Maja dała krok w stronę pana Napoleona, stanęła przed nim prościuteńko i odważnie podniosła głowę.

— On ma prawo na mnie się złościć, proszę pana — powiedziała. — Niech się pan na niego nie gniewa!

— Choćby i miał prawo się gniewać, nie ma prawa rzucać się z pięściami! — burknął pan

Napoleon patrząc na Maję.

— On już tego nigdy nie zrobi. Niech się pan na niego nie gniewa — powtórzyła Maja i nagle pod jej lewym okiem zjawił się malutki cień. Cień pogłębił się i pod okiem ukazał się dołek. — On już nigdy tego nie zrobi — powtórzyła i nagle uniosła w górę ręce, jak wtedy, gdy z wału fortu numer sześć wołała rozpaczliwie: „Nie rzucaj, Michał, nie rzucaj!”

— Nie. Już nigdy tego nie zrobię — powiedział Michał z powagą.

— Hmm — mruknął pan Napoleon i pociągnął się za wąs. — No, to jazda, spać, Michał.

— Już idę, stryжку — szepnął Michał, ale jeszcze raz przechylił się przez balustradę.

Księżyc świecił przez liście. Pod drzewem w dole połyskiwało blaszane wiaderko Dariusia. Obok bielila się łagodnie, jak uszko jagnięcia — mała paczuszka. Pierścionka pani Izabeli tam nie było.

— Czego wypatrujesz pod tym drzewem, Michał? — zapytał pan Napoleon Rumbaszkiwicz i teraz on przechylił się przez balustradę. — Coś ty tam wyrzucił? — krzyknął, zmarszczył czoło i spod brwi spojrział na Michała. — Co jest w tej paczuszce?

— Sól — uśmiechnęła się Maja.

— Hau! Hau! — cieszył się Karabin.

PANI DOKTOR WYRYWA ZĄB

— Proszę — powiedziała pani doktor.

Drzwi jej gabinetu otworzyły się i stanął w nich kuzyn Pawłowski. Trzymał się ręką za policzek i wyglądał, jakby go ktoś przyparł do ściany i długo tarmosił.

— Błagam panią — jęknął — niech mnie pani przyjmie, pani doktor. Wiem, że to już po godzinach przyjęć, ale naprawdę: już ani chwili nie mogę wytrzymać. A muszę jeszcze dzisiaj przerobić jedno bardzo trudne zagadnienie.

— Wielka szkoda, że pan nie namyślił się wcześniej — zmarszczyła się pani doktor. — Tylu już dzisiaj miałam pacjentów — szepnęła, ale spojrzawszy na kuzyna Pawłowskiego westchnęła i powiedziała: — Proszę, niech pan siada na fotelu.

Kuzyn Pawłowski przygarbił się, skurczył i wsunął się bokiem na fotel dentystyczny.

— Czy to będzie bardzo bolało? — stęknął i z całej siły ścisnął rękami poręczę dentystycznego fotela.

— Jeżeli nawet będzie bolało, to krótko — powiedziała pani doktor i podeszła do fotela. W jednym ręku miała młoteczek, a w drugim małe okrągłe lusterko.

— Myślałem, że już się całkiem uspokoił — szepnął kuzyn Pawłowski. — Ale teraz znowu ćwiknęło mnie tak, że aż poczułem w kolanie.

— Czy pan czasem nie ma zbyt bujnej wyobraźni? — uśmiechnęła się pani doktor.

— Może być — zastanowił się kuzyn Pawłowski — i myślę, że dlatego jeszcze bardziej się tym denerwuję.

— Jeżeli ma pan tak bujną wyobraźnię, to niech pan ją skieruje w innym kierunku. Nie na ząb.

— Niby dokąd? — zapytał kuzyn Pawłowski i spojrział z zaciekawionym na panią doktor.

— To sprawa osobista — powiedziała pani doktor i przetarła małe okrągłe lusterko.

— A pani ma wyobraźnię? — zapytał kuzyn Pawłowski, coraz bardziej zaciekawiony.

— Mam — uśmiechnęła się pani doktor.

— I dokąd pani ją kieruje? — zapytał kuzyn Pawłowski.

— Daleko, za moje drzwi — powiedziała pani doktor. — W nieznanym kraju, lasy, dżungla, za morze.

— OOO! — powiedział kuzyn Pawłowski i otworzył usta szeroko.

— Świetnie pan otwiera usta! — pochwaliła go pani doktor i zaczęła postukiwać w ząb kuzyna Pawłowskiego swoim małym młoteczkim.

— Au! — wrzasnął kuzyn Pawłowski.

— Ten ząb trzeba koniecznie wyrwać — powiedziała pani doktor, marszcząc ciemną brew.

— Oooo! — jęknął kuzyn Pawłowski.

— Spokojnie — powiedziała pani doktor, przyciskając wyginającego się w łuk kuzyna Pawłowskiego do poręczy fotela. — Naprawdę, nieraz myślę, że wołałabym leczyć zęby lwom niż nerwowym pacjentom.

— Ale chyba ze znieczuleniem? — powiedział drżąc kuzyn Pawłowski.

— Panu bez znieczulenia nigdy nie wyrwałabym zęba — powiedziała pani doktor.

Po trzech kwadransach kuzyn Pawłowski stał w sieni pani doktor i ocierał pot z czoła.

— Nogi mi się trzęsą, ale mi ulżyło — szepnął drżącym głosem.

— Proszę zażyć proszek, który panu dałam. Za godzinę nie po- 73

winno już boleć — powiedziała pani doktor. — I niech pan pokaże się jutro. Tylko niech pan przyjdzie nie tak późno, jak dziś.

— Przepraszam — szepnął kuzyn Pawłowski. — Wiem, że powinienem przyjść wcześniej, ale czas tak mi się pokręcił i ząb tak mnie bolał! Nie spostrzegłem się, że to już tak późno. To przecież już ciemno! — i kuzyn Pawłowski wyjrzał przez uchylone drzwi na mroczną galerię. — Pani nie zamyka drzwi? — zapytał.

— Gdy tylko mogę, nie zamykam — uśmiechnęła się pani doktor. — Przecież pan wie, jakie z tymi drzwiami utrapienie!

Kuzyn Pawłowski zatrzymał się w progu i teraz on uśmiechnął się do pani doktor.

— Inżynier z Komisji mówił, że te drzwi otwierają się tylko w czwartym wymiarze — powiedział.

— Może — szepnęła pani doktor i przeciągnęła ręką po swoich krótko ostrzyżonych włosach.

— Pani zmęczona, a ja tyle gadam — powiedział kuzyn Pawłowski. — Dobranoc pani.

— Dobranoc — powiedziała pani doktor.

Kuzyn Pawłowski wyszedł nie zamykając drzwi, a pani doktor została sama. Była tak zmęczona, że oparła się o ścianę sionki i patrzyła w smugę światła, wciskającego się w szparę w drzwiach numer dziesięć.

„To wszystko mili ludzie — myślała. — I ci Rumbaszkiewiczze, i te trzy dziewczynki spod ósemki, i babusia Garbowska. Chciałabym im wszystkim pomóc. Zwłaszcza temu nieszczęsnemu kandydatowi na Magistra, który jest tak niewytrzymały na ból zęba, a taki zawzięty, jeśli chodzi o naukę! A przede wszystkim pani Izabeli, która zgubiła pierścionek. Ach, jak bardzo chciałabym znaleźć ten pierścionek! Jak bardzo chciałabym”. 74 Myśli zmęczonej pani doktor troszeczkę się zmaciły. Na tyle

spraw miała chęć, a tak mało miała czasu. Stała nieruchoma, oparta o ścianę w swojej sionce, i patrzyła w swoje drzwi. Tam, na galerii,* po smudze księżycy przemykały się cienie liści, łagodne drżenie wdzierało się do sieni pani doktor. Brzmiało to jak muzyka, więc pani doktor przy wtórze zanuciła:

Jestem stomatologiem, lecz słyszę za mym progiem, zwłaszcza gdy księżyc łśni —

kroki hipopotamów,

krzyk papug, pisk pawianów,

i to tuż u mych drzwi.

Z progu mam krok do dżungli, do Kongo, do Burrendi, blisko — mam pustyni piach.

Gdy plomb założę tuzin — mam troszkę dosyć ludzi i snię o dzikich lwach.

— Pac — pac — pac! — coś uderzyło w uchylone drzwi pani doktor.

— Kto tam? — zapytała.

Nikt nie odpowiedział, ale pani doktor wydało się, że za drzwiami słyszy uprzejme mruczenie.

„Te drzwi otwierają się w czwartym wymiarze” — pomyślała pani doktor i wyszła na galerię.

Galerię i rosnące pod nią drzewa oplatały grube łodygi lian, liany zwisały w dół, spletały galerię z zielonym gąszczem, który był tam, w dole. Księżyc świecił i liście nieznanych drzew łśniły mocno.

Z gąszczu wybłyskiwały wielkie, podobne do błękitnych 75

gwiazd kwiaty, błyszcząły różowe pąki akacji i bił powiew wilgotny, gęsty od zapachów. Raz po raz ostry pisk pawiana rozdzierał powietrze.

W gęstym, wysokim podszyciu, które sięgało zwisających gałęzi, przebiegało coś z tupotem, prześlizgiwało się z sykiem, coś stąpało w nieprzejrzanym zaroślach ciężko, sapiąc i stękając.

— Uuu! liii! — Kolo — kolo — kolo — kolo! — coś nawoływało z daleka.

— Przepraszam, czy to pani doktor? Pani doktor obejrzała się. Za nią stał lew.

Był to całkiem mały lew, ale gdy stanął uprzejmie słupek — był wzrostu pani doktor. Oczy miał złote jak miód.

— Ja — powiedziała pani doktor. — A o co chodzi?

— Dobry wieczór — powiedział mały lew bardzo uprzejmie. — Mojego kuzyna boli ząb. Czy mogłaby pani coś na to poradzić?

— Owszem — odpowiedziała pani doktor. — Niech kuzyn przyjdzie do mego gabinetu.

— To niemożliwe — westchnął mały lew. — Kuzyn gonił tygrysa i wykręcił sobie łapę. Więc czy mogłaby pani go odwiedzić ?

— W takim razie muszę zabrać ze sobą moje narzędzia — powiedziała pani doktor.

— Proszę bardzo — powiedział jeszcze uprzejmie mały lew.

— Więc proszę, niech kawaler na mnie poczeka. Ja wezmę swoje narzędzia, a kawaler poprowadzi mnie do kuzyna — uśmiechnęła się pani doktor.

Złote oczy małego lwa zabłyśły. Najwyraźniej spodobało mu się, że pani doktor nazwała go kawalerem. Ale po chwili spuścił łeb i szepnął-

— Wolałbym, żeby pani sama odwiedziła mojego kuzyna.

— Sama? — spłoszyła się pani doktor.

— Boja—bąknął mały lew—chciałbym się tu troszeczkę pobawić.

— Ależ! —wykrzyknęła pani doktor, jeszcze więcej spłoszona.

— O, bardzo panią proszę — szepnął pokornie mały lew. — To przecież bardzo łatwo trafić do mojego kuzyna! Zejdzie pani tymi schodami i pójdzie pani prosto ścieżką pomiędzy liany, palmy, baobaby, kokosy, aż za gaj pelargonii, na polanę, a tam mieszka mój kuzyn. Bardzo panią proszę, boja, naprawdę, bardzo chciałbym się tu pobawić! — westchnął mały lew i mrugnął złotym okiem. Pani doktor złagodniała.

— No, dobrze — uśmiechnęła się, kiwnęła głową, weszła w uchylone drzwi numer dziesięć i po chwili ukazała się na galerii w białym doktorskim fartuchu.

Rozejrzała się. Zielony gąszcz w dole poruszał się lekko, liany kołysały, szmery, piski, przeloty, prześlizgi, przebiegi i ciężkie stapania słychać było aż na galerii, ale małego lwa tu nie było.

Pani doktor zeszła po schodach, stanęła na wilgotnej ścieżce. Na galerii coś się chyba działo, dobiegały stamtąd jakieś szmery, cichy śmiech i tupotanie. Pani doktor podniosła głowę.

Z drzwi numer osiem wysunęły się Ala, Cela i Maja, a pośród nich podskakiwał mały lew.

— Prr, Leoś! Prrr! — wołała Maja i biegła za nim w podskokach, a mały lew sadził na miękkich łapach tam i z powrotem, tam i z powrotem po galerii.

— Prr, Leoś! Prr! — wołały Ala i Cela i biegły za Mają i za małym lwem. Maja dopadła go pierwsza, uchwyciła się jego grzywy i jednym susem znalazła się na lwim grzbiecie.

— Wioo! — krzyknęła.

— Wioo, Leoś! Wiooo! — wołały Ala i Cela i mały lew puścił się galopem po galerii tak prędko, że wydawało się, jakby nad betonową podłogą sunął migocący złoty promień.

— Wiooo! Wioooo! — wołała Maja i śpiewała:

W marzeniach, w wesołych snach, przyjemnie jeździć na lwach! Wiatr w oczy! W grzywę! Pęd Jwi! Miło, gdy o lwach się śni!

Pani doktor przeciągnęła ręką po krótko ostrzyżonych włosach.

— Wszystkich obudzą — zatroskała się.

Ale widać wszystko w jakiś niewytłumaczony sposób odbywało się cicho, bo nikt się nie ukazał w żadnych drzwiach na galerii.

— Hop — hop — hop!

Miękkie łapy odbijały się od betonowej podłogi coraz wyżej i wyżej i migocący przebieg poderwał się nagle w górę. Pani doktor widziała już tylko złotawe mżenienie na nocnym niebie, pod księżycem.

— No cóż? Muszę ruszyć sama — szepnęła i weszła w las.

Szła ścieżką tak wąską, że z trudnością mieściły się na niej stopy, zieleń napierała na nią ze wszystkich stron, pani doktor plątała się w lianach, w długich łodygach powojów o czerwonych kwiatach. Grona akacji pachniały mocno, a przebiegi, przeloty przedzierały się przez gęste podszycie.

— Pa? Pa? Pa? — odezwało się nad nią skrzekliwym głosem z grubej gałęzi.

Pani doktor spojrzała w górę. Z głębi patrzyła na nią błękitna papuga i przechylając łeb mierzyła w panią doktor okrągłym okiem.

— Co za „pa” ? Jakie „pa” ? — zapytała pani doktor.

— Pan — pan Pa — Pawłów — ski — gdzie? — zaskrzeczała błękitna papuga.

— A bo ja wiem, gdzie jest teraz pan Pawłowski? — wzruszyła ramionami pani doktor. — Wcale mi nie zależy na panu Pawłowskim !

— No — no! — zaskrzeczała papuga i poderwała się wyżej, na sam czubek drzewa, a pani doktor podniosła dumnie krótko ostrzyżoną głowę i poszła odważnie dziką ścieżką sama, naprzód.

— Chi — i — ip! — wielkie pęto liany zachwiało się nad ścieżką. Mała małpka zahuściła się przed panią doktor w prawo, w lewo, liana 79

śmignęła w górę, małpka chwyciła się gałęzi, usiadła i podrapała się w chudy zadeczek.

— Idę do lwa — powiedziała jej pani doktor.

Ścieżka biegła przez gąszcz coraz bardziej nieprzebyty. Można się było tylko domyślać, co się w nim przemyka, prześlizguje, co przez niego przebiega, ciężko stąpa, sapiąc, stękając, sycząc i piszcząc. Pani doktor przedzierała się przez zwisające pnącze i łodygi z coraz to większym trudem. Na jej krótko ostrzyżone włosy sypały się liście, kolczaste łupiny, gałązki, puchy, skrzydlate nasiona. Coraz mniej była podobna do pani doktor — stomatologa, coraz więcej do chłopca — włóczykija. Oczy pani doktor, zwykle tak spokojnie spoglądającej na pacjentów, lśniły teraz jak u czujnego liska, błyskały bystro raz na lewo, raz na prawo, w tył, w górę, w dół, i to niemal jednocześnie jak wtedy, gdy miała siedem lat i zapuszczała się w gąszcz wikliny za domowym płotem, gdzie trzciny plątały się ze zwisającymi gałęzmi wierzb i gdzie nie wolno jej było chodzić samej.

— Uuuu! — odzywało się z gęstwiny.

— Uuu — odpowiadała pani doktor.

— Trzk — trzk! — trzepotało się w gałęziach.

— Trzk — trzk — odpowiadała pani doktor.

— Kolo — kolo — wabiło coś z liści.

— Kolo — kolo — odpowiadała pani doktor.

A gdy spadł jej pod nogi wielki kokosowy orzech — odrzuciła go, jak kiedyś odrzucała piłkę na szkolnym boisku. A gdy coś zatrąbiło w zielonej głębi — odrąbiła, jak wtedy, gdy się sprzeciwiała starszemu bratu.

— Dokąd? Dokąd? — zaskrzeczało z gałęzi papuzim głosem. Pani doktor zaśmiała się i odpowiedziała, nucąc:

Do Lwa! Wśród małp i ptaków „Kolo — kolo”, przez gąszcz, przez puszczy głąb

idzie pani doktor — stomatolog, bo Lew ten cierpi na ząb.

— Ssss — syknęło coś w leśnym podszyciu. Liany zachwiały się znowu nad głową pani doktor. Pani doktor rozsunęła je i stanęła na rozległej polanie. Przed nią czerwieniła kępa pelargonii, za kępą wiatr poruszał wysokie żdźbła traw, na krańcu polany widać było akacjowe zarośla. Pani doktor poszła w tę stronę.

Pod akacją leżał wielki lew. Wyciągnął przed siebie łapy, oparł na nich głowę, na płową grzywę sypały mu się drobne, różowe akacjowe kwiatuszki. Stękał: — Umpf— umpf! — a jego boki podnosiły się w ciężkim oddechu.

— Jestem, proszę pana — powiedziała pani doktor.

Lew odemknął żółte ślepią, potrząsnął grzywą i podźwignął się.

— Z kim mam przyjemność? — zapytał, patrząc na panią doktor bardzo uważnie.

— Zofia Fertyczna, doktor stomatolog — przedstawiła się pani doktor.

— Bardzo mi przyjemnie — powiedział lew. — A ja jestem Leo — skłonił wielką płową głowę i nagle obejrzał się za siebie.

Z akacjowego gąszczu wyszła lwica. Stąpała miękko, cicho, od niechcenia, mrużyła żółte oczy i spod płowych rzęs patrzyła na panią doktor.

— To ta spod numeru dziesięć? — zapytała. — Czy nie za młoda?
— Ależ skąd, Leonino! — powiedział lew i powabnie spojrzął na panią doktor. — Nie ma, jak młodzi doktorzy! "

— Mam już paroletnią praktykę — nasrożyła się pani doktor.

— No, zobaczymy, jak to pójdzie — mruknęła Leonina.

— Czy można by od razu? — zapytał lew odrobinę mniej pewnym głosem, przełknął i lekko trzepnął ogonem.

6 Pierścionek pani Izabeli

— Oczywiście — powiedziała pani doktor. — Niech pan będzie łaskaw otworzyć usta!

— Usta? — oburzyła się Leonina. — Lew ma paszczę, proszę pani! Otwórz paszczę, Leo!

— Oooo — powiedział lew i otworzył paszczę. Pani doktor wyjęła z kieszeni pudełko z narzędziami, wybrała potrzebne i wsunęła w lwią paszczę swoją krótko ostrzyżoną głowę. Nigdy w życiu nie patrzyła z tak bliska na takie zęby. Błyskały drapieżnie dookoła jej głowy, a po jej krótkich włosach przeciągał gorący oddech. Jeden ząb był złamany. Pani doktor uderzyła w niego swoim młoteczkim.

— Uuu — stęknął lew.

Pani doktor wysunęła głowę z lwiej paszczy.

— Ten ząb trzeba wyrwać — powiedziała.

— Może ze znieczuleniem? — powiedział cicho lew.

— Ze znieczuleniem? — fuknęła Leonina. — Także pomysł! Czy lew usuwa sobie ząb ze znieczuleniem! Wstydz się, Leo!

Lew spuścił oczy.

— No to proszę — bez, pani doktor.

Pani doktor sięgnęła po kleszcze, lew otworzył paszczę, jak mógł najszerzej, pani doktor wsunęła do niej kleszcze, pochwyciła w nie ząb i pociągnęła tak mocno, jak wtedy, gdy w szkole przeciągała na gimnastyce linę.

— Uuuu-rrrr! — ryknął lew.

— Już! — zawołała pani doktor wymachując kleszczami, w których tkwił wyrwany ząb.

— Rzeczywiście, zgrabnie — przyznała Leonina.

— Ulżyło mi — sapnął lew. — Pomyśl o dobrym obiedzie, droga Leonino.

— Myślę, że przede wszystkim powinniśmy pomyśleć o czymś innym — Leonina spojrzała na niego znacząco.

— Oczywiście, przede wszystkim pomyślmy o honorarium — schylił głowę lew. — Ale sprawa nieco się pogmatwała, drogie panie! Przygotowałem dla pani doktor jako honorarium piękny pierścionek. To spadek po pewnym myśliwym, który — hmm — którego — hmm...

— Mniejsza z tym, Leo — powiedziała Leonina. — No więc, co z tym pierścionkiem?

— Otóż właśnie#: droga pani doktor, droga Leonino! Nie mogę chwilowo znaleźć tego pierścionka. Gdzieś mi się zawieruszył. Ale oczywiście, gdy tylko moja łapa przyjdzie do siebie, odszukam go na pewno! Niech pani będzie spokojna o swoje honorarium, pani doktor!

— Och, to błahostka — powiedziała pani doktor składając narzędzia. — Uważam ten zabieg za cennądoświadczenie!

— Za kogo nas pani ma! — obruszyła się Leonina. — Oczywiście — że ta wizyta musi się pani opłtfcć! I na pewno się opłaci! Rusz swoją królewską głową, Leo, i pomyśl, gdzie podziałeś ten pierścionek! Ale tymczasem pożegnaj się pięknie, a ja odprowadzę panią doktor do skraj lasu.

— Dziękuję pani — powiedział lew i trzepnął elegancko ogonem. — Proszę być pewną, że będę pamiętał o pani pierścionku. Do widzenia!

— Nie ma o czym mówić. Do widzenia, panie Leo — ukloniła się pani doktor i odeszła z Leonina.

— Karygodna męska lekkomyślność — mówiła krocząc poważnie Leonina. — Karygodne gapiostwo! Nie daruję mu tego wstydu! Zostawić panią bez honorarium! A ma pretensję, że jest królem zwierząt!

— I na pewno jest — uśmiechnęła się pani doktor. — Po prostu to skutki bólu zęba! Proszę mi

wierzyć, że się tym wcale nie przejmuję i tylko z ciekawości pytam, jak wyglądał ten pierścionek.

agi
l

— Złoty jak oczy moich dzieci — powiedziała Leonina — z kamieniem czerwonym jak krew. Pani doktor zabiło serce. Zamyśliła się głęboko. — A może chce pani zobaczyć moje dzieci? — zapytała Leonina.

— Ach, bardzo! — ucieszyła się pani doktor.

— Zaraz je pani pokażę — powiedziała Leonina i poszła przodem.

Pod akacją, między wysokimi kępami trawy, leżały w lwim legowisku małe lewki, miękkie, puszyste, płowe.

— Jakie śliczne! — powiedziała pani doktor. — Zupełnie podobne do kot...

— Co proszę? — warknęła Leonina i jej oczy błysnęły płowym blaskiem.

— Zupełnie podobne do ojca — powiedziała prędko pani doktor, pochyliła się nad małymi lewkami i głaskała ich puszyste futerka. — Śliczne ma pani dzieci — powiedziała. — I śliczny dom pod tą różową akacją!

— Owszem — kiwnęła płowym łbem Leonina, wyciągając się obok małych lewków i zabierając się do karmienia. — Ale trochę to za bardzo otwarte miejsce, jeśli chodzi o wychowanie dzieci.

— Dlaczego więc nie przeniesie się pani w inne? — zapytała pani doktor.

Ślepia Leoniny błysnęły znad miękkich, kocich grzbietów małych lwów.

— Tu był zawsze nasz lwi dom! — warknęła, — I ja się w nim wychowałam!

— Rozumiem panią, pani Leonino — powiedziała i uśmiechnęła się do lwiej rodziny. — Bardzo się cieszę z poznania państwa, ale pora mi już wracać.

— Jeżeli pani już chce wracać, niestety, nie będę mogła teraz pani odprowadzić. Jak pani widzi, karmię — powiedziała Leonina.

— Pójdę sama — powiedziała pani doktor. — Do widzenia, pani Leonino! — I odeszła przez polanę, przez gąszcz czerwonych pelargonii do skraju lasu. Za nią biegła kołysanka Leoniny, nućcająca do snu swoim dzieciom:

Gdy lew ma dom swój pod akacją — to tu jest jego dom, i basta. Wbrew radom i wbrew reklamacjom nie będzie się po dżungli szastał. Bo tylko chłystki nędzne, słabe odchodzą od rodzinnych stron to pod mirt, to pod baobaby, i gdzie im lepiej — tam ich dom.

Lecz lew jest lwem. I lwi ma honor. Lew to nie byle jaki zwierz. Wie, że czcić trzeba progi domu, choćby pod cieniem krzywych wierzb. To wam wspiewuję do lwich uszek, choć każdy z was, jak kotek, śpi, choć jeszcze na was koci puszek, ale charakter macie lwi.

Głos Leoniny dobiegał coraz cichszy, coraz dalszy, mroczna ściana gąszczy nasuwała się coraz bliżej, wreszcie wielka puszcza otoczyła panią doktor.

Było już prawie całkiem ciemno. W ciemności parowały wilgocią rozprażone liście. Pani doktor potykała się o splątane łądygi, pnące, korzenie. Raz po raz uderzały ją niskie gałęzie. Nagle w gąszcz wdarł

86 się jasny promień, liście zamigotały, kielichy kwiatów rozbliły w mroku. Księżyc wzeszedł nad puszcza, ścieżka pojaśniała, pani doktor ruszyła naprzód śmiało, rozgarniając nawisające pęta lian. Nagle zatrzymała się. Na zwisającej nad ścieżką łądydze zaśniła czerwona kropla blasku.

— Czerwony kamień — szepnęła pani doktor. — Czerwony kamień w złotym otoku! Pierścionek pani Izabeli!

Pochwyliła zwisającą łądygę i ręka jej nagle dotknęła płaskich łusek.

— Ssss — syknęło nad jej głową i na ścieżkę, jak pęto grubego sznura, zsunął się olbrzymi wąż. — Sss — zasyczał jak gotujący się imbryk i zaczął zwijać się w pierścienie. Był tak długi, że trwało to chyba co najmniej pół godziny. Przynajmniej tak zdawało się pani doktor, która znieruchomiała na ścieżce i rozszerzonymi oczami patrzyła, jak wąż układa się przed nią w wielkie obwarzanki, wywijając żądłem, sycząc i połyskując pierścionkiem z czerwonym kamieniem na końcu ogona.

Wreszcie ułożył się na ścieżce, wydzwignął ze swoich zwojów płaską głowę i syknął:

— Sss — skandal! Ssskąd pani przyszło do głowy chytać kogoś ni stąd, ni zowąd za ogon!

Ssskąd się pani tu wzięła? Ssssądzę, że pani raczy mi się przedstawić!

Pani doktor bardzo nie lubiła, gdy ktoś do riiej odzywał się w ten sposób. Podniosła hardo głowę i powiedziała:

— Jestem Zofia Fertyczna. Doktor-stomatolog. Idę z zabiegu u pana Leo.

— Ssss? Ach, więc pani była na zabiegu u pana Leo? I cóż to opowiadał pani o mnie pan Leo?

— Nic — wzruszyła ramionami pani doktor. — Dlaczego miałby mi opowiadać o węzach?

— Sss! — płaska głowa węża obróciła się wprost ku pani doktor, 87

a szeroki pysk rozszerzył się w uśmiechu. — Zresztą — nie wie pani nawet, z kim pani ma do czynienia!

— Żałuję, ale nie — powiedziała pani doktor.

— Sss-erpenta! Jestem Ssserpenta, najlepsza tancerka w okolicy! Nie jestem byle kim, moja pani! Pochodzę z rodu Pytonów Siatkowanych! Mam dziesięć metrów długości od łba do ogona!

— Bardzo mi przyjemnie! — powiedziała pani doktor. — Ale czy mogę wiedzieć, co za pierścionek ma pani na swoim ogonie?

— Mój własny — syknęła Serpenta — i nie sądzę, aby pani odważyła się w to wątpić, zważywszy, że ten pierścionek ma na ogonie dziesięciometrowej długości wężyca z rodu Pytonów Siatkowanych!

— Tak, trudno byłoby mi wyrazić jakiegokolwiek wątpliwości — zgodziła się pani doktor.

— Mówię o tym dlatego, że rodzina pana Leo zgłasza jakieś dziwne pretensje do tego pierścionka, powołując się na pewną sprawę z myśliwym. Otóż ta sprawa wcale się tak nie miała, jak ją przedstawia pan Leo! Ten myśliwy, którego — mniejsza zresztą z tym — ten myśliwy zostawił pierścionek w spadku rodzinie Pytonów Siatkowanych! Ja występuję w nim zawsze, biorąc udział w Festiwalach Śliskich Tańców! I zawsze zdobywam pierwszą nagrodę! Ssss! — Serpenta wygięła się tanecznie nad ścieżką przed panią doktor.

— Brawo — powiedziała pani doktor i chciała się przemknąć bokiem, obok wygiętej w łuk Serpenty, ale potknęła się o koniec jej ogona, zawadziwszy nosem bucika o pierścionek.

— Ssss! — wszystkie siatkowane zwoje jak ogromna sprężyna rozwinęły się w jednej chwili, i nagle pani doktor zobaczyła przy swoim prawym policzku wywijające żądło i nieruchome srebrne oko.

Krzyknęła i puściła się pędem przed siebie. Za nią posuwało się wielkimi susami długie cielsko Serpenty: — Ssss! Ssss! Ssss! — Roztrącając zwisające liany, rozdzierając pnącze biegła pani doktor ścieżką, potykała się, padała, podnosiła i znowu biegła, biegła, biegła.

— Ssss! — sadziła za nią Serpenta.

— lili — ile sił w nogach, pani doktor! — piszczały małpy, skacząc gdzieś w górze po konarach drzew.

— Uuuu — uważnie, pani doktor — wołało coś w gęstwinie. __ Xrzy — trzy — trzymaj się, pani doktor! — trzepotało coś w gałęziach.

— Kolo — kolo — oooo, prędzej, pani doktor! — zawodziło coś w liściach.

— Pa! Pa! Pa! — zaskrzeczało i z drzewa pochyliła się papuga, mierząc w panią doktor okrągłym okiem.

— Co za „pa”? Jakie „pa”? — wołała pani doktor biegnąc co sił w nogach.

— Panie Paw — łowski! Pa — nie Pawłowski: — skrzeczała na całe gardło papuga. — Panie Pawłowski! Na — po — moc! Ssser-pen — ta go — ni pa — nią dok — tor!

— Ach, gdzie teraz szukać pana Pawłowskiego! — zapłakała pani doktor i bez tchu oparła się o drzewo.

Ręka pani doktor osunęła się po znajomym pniu. Podniosła oczy.

— To nasze drzewo! — odetchnęła. — To nasze drzewo pod galeriowcem!

— Kolo — kolo! Trzk! — trzk! — zatrzepotało nad jej głową. —

To nasze drzewo! Domowe drzewo! Trzk — trzk!

— Domowe drzewo! — szepnęła pani doktor, resztą sił oderwała się od pnia, utykając wbiegła po

schodach na galerię i oparła się o balustradę.

— A gdzie liany? Gąszcze? — wyszeptała.

Nic takiego nie było. Tylko tam, pod znajomym drzewem, w dole, przewijały się w świetle księżycy zwoje, kręgi długiego cienia.

— Serpenta?

— Ssss! — czarny koniec węzowego ogona uniósł się w górę, omusnął balustradę galerii i otrząsnął z siebie mały świetlisty krążek. Krążek zaświecił na betonowej podłodze.

— Pierścionek pani Izabeli? — wyszeptała pani doktor, przyklękła i wyciągnęła ku niemu palce. Ale palce nie uchwyciły nic, tylko blask księżycowego światła przemknął się po dłoni pani doktor.

— Co się pani stało? Dlaczego pani klęczy na podłodze? — krzyknął ktoś nagle i pan Pawłowski podniósł ją za ramiona. — Czy pani słabo? Czy pani się tak bardzo dzisiaj przemęczyła?

Pani doktor zamruwała oczami.

— Nie, nie! Nic mi nie jest! — powiedziała. — Zdawało mi się, że coś tu upadło!

— Bo jak to można tak się przemęczać! — krzyknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz, stając w progu drzwi numer siedem. — A jeszcze kuzyn Pawłowski napatoczył się pani doktor wieczorem z tym swoim zębem! Musiała pani dobrze użyć! Już ja go znam!

— O, ja jestem bardzo opanowana — powiedziała pani doktor. — Niełatwo wyprowadzić mnie z równowagi. Mogę rwać zęby lwom! — i uśmiechnęła się do kuzyna Pawłowskiego. — Ale ja — rozejrzała się po galerii — obudziłam wszystkich państwa.

Pani Izabela stała przed swoimi drzwiami, pani Złudna — przed swoimi i trzymała w ręku kawałek lekkiej tkaniny, która połyskiwała w księżycu. Była taka podobna do swoich córek, wydawała się taka młoda, jakby ich siostra.

— Dziewczynki się nie obudziły? — zaniepokoiła się pani doktor.

Pani Złudna spojrzała na nią z uśmiechem i pod jej lewym okiem, jak u Mai, zrobił się mały dołek.

— Śpią, ani się nie poruszyły — powiedziała.

— A czy nie obudziłam pani?

Pani Złudna potrząsnęła jasną głową.

— O, nie! — powiedziała. — Ja jeszcze szyłam! — I poruszyła kawałkiem tkaniny, którą trzymała w ręku.

— To coś bardzo ładnego — powiedziała pani doktor.

— Będzie z tego spódniczka dla Mai — powiedziała pani Złudna. — Ta dziewczyna drze wszystko tak prędko, jakby jeździła na lwach!

GOŚCIE

Pan listonosz Wiśniewski zapukał do drzwi pani doktor, ale nikt się nie odzywał: widać pani doktor była jeszcze w Ośrodku. Więc ruszył galerią dalej. Jego kroki stukwały po betonowej podłodze. Ale jeszcze ktoś szedł za nim galerią.

Pan Wiśniewski obejrzał się: galerią szła wyrośnięta dziewczynka. Na ramieniu miała podróżną torbę, w jednym ręku wiklinowy koszyk przykryty lnianą szmatką, w drugiej małą karteczkę. Idąc popatrywała na tę karteczkę raz po raz i wodziła wzrokiem po numerach na drzwiach. Minęła pana Wiśniewskiego i wtedy pan Wiśniewski zobaczył, że dziewczynka ma długi ciemny warkocz i że spod lnianej szmatki, którą przykryty był koszyk, wystaje kurzy ogon. Dziewczynka zatrzymała się przed uchylonymi drzwiami numer sześć i zastukała niegłośno.

— Kto tam? — zapytała pani Izabela tym swoim niezwykłym głosem.

— Czy tu mieszkają Garbowscy? — zapytała nieśmiało dziewczynka z koszykiem.

Pan Wiśniewski zdziwił się, bo brzmiało to tak, jakby na głos pani Izabeli odezwał się jej własny głos, tylko dźwięczniejszy, świeższy, młodszy.

— Nie — powiedziała stając w progu pani Izabela i jej ciemne oczy spojrzały uważnie na wyrośniętą dziewczynkę.

— Państwo Garbowscy mieszkają pod dziewiątym.

— Dziękuję — powiedziała dziewczynka i dygnęła.

Pan Wiśniewski zatrzymał się: dawno nie widział dygającej dziewczynki. Uśmiechnął się do niej, a ona przeszła obok niego równiutkim krokiem. Ciemny warkocz kołysał się jej na plecach, pod

szmatką przykrywającą koszyk coś się poruszało. Dziewczynka zastukała do drzwi numer dziewięć, ale widząc, że są uchylone, pchnęła je i znikła w sionce.

— lili!—rozległ się głos Darusia.

— Cechna! Aleś urosła! Pójdź, Cechna, do mieszkania! Pójdź! — wołała babusia Garbowska.

— Kokoko! — zagadkała kura.

Drzwi numer dziewięć przymknęły się, pan Wiśniewski podszedł do pani Izabeli. Wciąż stała przy swoich drzwiach i patrzyła ku drzwiom Garbowski, w których znikła dziewczynka.

— Kto to? — zapytała.

— Chyba wiocha — uśmiechnął się pan Wiśniewski. — Ale ładnusia.

— Co za głos — szepnęła pani Izabela.

— Na tym to ja się nie znam — powiedział pan Wiśniewski.

— Aleja się znam — powiedziała z uśmiechem pani Izabela, wciąż patrząc na drzwi numer dziewięć, zza których dobiegał teraz śmiech, który to wznosił się, to opadał, dźwięczny, głęboki, czysty jak szkło.

— To dla pani — powiedział pan Wiśniewski i podał pani Izabeli kartkę.

— Dziękuję — powiedziała pani Izabela, ale nie spojrzała na kartkę. Patrzyła wciąż na drzwi numer dziewięć, wciąż nasłuchiwała głosu, który teraz wołał:

— Ale tu u was zasobnie, babusiu! I kuchnia taka bieluśka! I woda w kranie! I telewizor!

— Kokoko!

— lili!—piszczął Daruś.

— Widzisz, Daruś, widzisz? Cechna kurkę ci przywiozła na rosółek ! Puśćże kokosie, puść! Patrzcież, jak on się z nią ładnie bawi!

— Cip — cip — cip — kokoko? — wołał Daruś, kura gdała, a babusia nawoływała:

— Chodź no tu, Cechna! Umyj ręce, ogarnij się! Zaraz ci herbatki zrobię!

— Dziękuję, babusiu, dziękuję! — mówił dźwięczny głos.

Pani Izabela zamyśliła się, westchnęła, po czym spojrzała na kartkę. Był na niej jakiś widok nadmorski. Weszła do mieszkania, włożyła okulary, przysiadła na swoim krzeselku i czytała: Szanowana Pani!

Przyjechałem ze Stanów Zjednoczonych, ostatni tydzień spędziłem nad polskim morzem. Udcdo mi się tutaj zdobyć Pani adres. Będę w Warszawie za trzy dni i odwiedzę Panią wieczorem. Muszę bowiem zobaczyć się z Panią w bardzo ważnej rodzinnej sprawie.

Ad

Pani Izabela przetarła okulary, a potem oczy. „Ad”? Czy to możliwe? Kuzynek Adzio? Nie! Skądże! Co też jej chodzi po głowie! Adzio, który uciekł przed wierzycielami z kraju przed kilkudziesięciu laty! Nieodpowiedzialny kuzynek, o którym nikt nie miał dobrego wyobrażenia! Który siał pieniądze, długów miał powyżej uszu, zawsze był bez grosza, ale jej, pani Izabeli, zawsze przynosił kwiaty wykrzykując z zapalem: „Nikt nie ma piękniejszego głosu niż ty, kuzynko Izabelo! Nikt nie ma piękniejszych oczu niż ty, kuzynko Izabelo !” Ale jakież podobne pismo! I przyjechał ze Stanów Zjednoczo-nych. Ad? Ad? Niemożliwe! Co za historia!

Pani Izabela śmiała się cicho i przecierała raz po raz okulary. Spojrzała na datę na karcie.

— Przecież przyjeżdża dziś! — wyszeptała i zerwała się z krzeselka.

Pochwyciła gospodarską torbę i wybiegła z mieszkania.

— Dokąd szanowna pani tak śpieszy? — wykrzyknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz, który właśnie wchodził w drzwi numer sie-

dem. — Okropnie gorąco dzisiaj! Trzeba szanować serce w tak upał!

— Mam gościa z zagranicy, panie Napoleonie! — wołała pan Izabela, biegnąc przez galerię.

— Pewno dawny wielbiciel, hoo — ooo! — śmiał się pan Napo leon i mrugnął ku pani Izabeli.

Ale pani Izabela już tego nie widziała. Zbiegła po schodach, prze biegła podwórko i znalazła się na ulicy. Planowała gorączkowo „Kupię babkę, wino, kawę. Muszę załatwić to prędko, bo trzeba jeszcze kupić do wazonu jakieś kwiaty. Ciekawam, czy drogie są róże? Chyba nie zjawi się zbyt wcześnie i zdążę wszystko przygotować Ad? Sprawa rodzinna? Co to może znaczyć? Żeby tylko zdążyła!”

Ale już wczesnym popołudniem wszystko było przygotowane i nakrycie na stoliku, i kieliszki z cienkiego szkła, które jakimś cudem ocalały w pożarze, a trzy piękne róże w wazonie odbijały się w po liturze stojącego pod ścianą pianina. Zegar tykał na ścianie. Par Izabela siadała na krzeselku, wstawała, chodziła po swoim pokójku i wyglądała przez uchylone drzwi na galerię. Na galerii było pust i cicho. Nagle z drzwi numer dziewięć popłynął dziewczęcy głos czysty, głęboki i dźwięczny, jak za młodu głos pani Izabeli. Śpiewał

Gdzieżeś mi się, pierścioneczku, potoczył? Czy cię wieczór wielkim cieniem omroczył? Czyś zabłąkał się w promieniach, na słońcu? Gdzieżeś, gdzieżeś, pierścioneczku, pierścionku?

Pani Izabela słuchała. Głos śpiewał dalej.

Może sokół cię pochwycił w swe szpony, pierścioneczku mój z kamieniem czerwonym? Może kurka zagrzebała cię w ziemi, pierścioneczku mój z czerwonym kamieniem?

iii

2да&'

ti r

4IIIIMIII&> >■

;\|π

[v

Pani Izabela sama nie wiedziała, kiedy znalazła się pod drzwiami numer dziewięć, pchnęła je i weszła do mieszkania babusi. Przy oknie stała w słońcu wyrosnięta dziewczynka z ciemnym warkoczem.

— To tyś śpiewała, prawda? — zapytała pani Izabela.

— Ja — powiedziała dziewczynka, zarumieniła się i znowu dygnęła.

— Czy uczysz się śpiewu? — zapytała pani Izabela.

— Nasz nauczyciel mnie uczył. Na wsi — szepnęła dziewczynka.

— Dobrze cię uczył — uśmiechnęła się pani Izabela. — A co będzie dalej?

— Mam zdawać do szkoły muzycznej — powiedziała dziewczynka — ale bardzo się boję, czy zdam — westchnęła.

— Powinnaś zdać — powiedziała pani Izabela. — Ale dla pewności — czy chciałabyś pośpiewać jeszcze trochę u mnie? Mogę ci dać sporo wskazówek. Znam się trochę na tym — uśmiechnęła się.

— AcBI — złożyła ręce dziewczynka. — I pani by chciała?

— Bardzo bym chciała — powiedziała pani Izabela i wciąż się uśmiechała. — A może byś teraz mi zaśpiewała? Mam trochę czasu, będę ci towarzyszyć na moim pianinie. No więc, zaśpiewasz? Może o tym pierścionku?

Dziewczynka przerzuciła warkocz przez ramię i skubała jego koniec.

— Ja nie śmiem — szepnęła. Pani Izabela wzięła ją za rękę.

— Chodź — powiedziała. — Chodź, zaśpiewaj. Jak ci na imię?

— Cechna — szepnęła dziewczynka i podniosła oczy na panią Izabelę. Oczy miała brunatne jak orzechy.

— Chodź, Cechna.

Oczy Cechny obiegły pokój pani Izabeli, zatrzymały się na wąskich mebelkach, kwiatkach na pianinie, na fotografii pięknej Hiszpanki o oczach pani Izabeli, z wysokim grzebieniem w czarnych włosach.

Pani Izabela podeszła do pianina i przycisnęła jeden klawisz.

— Zaśpiewaj, Cechna — powiedziała siadając przy pianinie.

— Ja tu nie śmiem — szepnęła Cechna. — Skąd ja u pani? Przed panią?

— Nie wstydź się — powiedziała pani Izabela. — Nie wstydź się zaczynać. I ja kiedyś zaczynałam. To wielkie szczęście.

— Ach, gdyby to pani zaśpiewała — szepnęła Cechna.

— Nie — powiedziała pani Izabela. — Nie, ja już nie śpiewam. Mój głos zgaśł. Wszystko gaśnie z

czasem.

— Ach — powiedziała Cechna.

— To zwykła rzecz — uśmiechnęła się pani Izabela. — Ale młode głosy wciąż się budzą. Cały świat jest pełen śpiewu.

I uderzyła w klawisze: „Gdzieżeś mi się, pierścioneczku, potoczył?”

„Czy cię wieczór wielkim cieniem omroczył?” — zaśpiewała Cechna, a potem śpiewały razem jej głos i instrument pod palcami pani Izabeli.

Drzwi na galerię były uchylone i z pokoju pani Izabeli widać było, jak na dworze mrocznieje. Pani Izabela patrzyła znad klawiatury na Cechnę. Stała śpiewając z podniesioną głową.

I nagle wydało się pani Izabeli, że Cechna stoi na scenie, że tam, w mroczniejącej galerii, jest widownia, a drzwi numer siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, to drzwi teatralnych łóż, z których głębi błyskają szkła lornetek skierowanych na Cechnę, śpiewającą pełnym głosem, z uniesionym czołem — tak jak kiedyś śpiewała pani Izabela. A tam — w głębi na balkonie — stoi nieodpowiedzialny kuzynek Adzio zasłuchany, zapatrzony, który, gdy skończy się śpiew, zjawi się za kulisami teatru z wielkim bukietem.

7*

„Nikt nie ma takich oczu. Nikt nie ma takiego głosu”.

Może sokół cię pochwycił w swe szpony, pierścioneczku mój z kamieniem czerwonym — śpiewała Cechna pełnym głosem, patrząc przed siebie brunatnymi oczami. Umilkła. Pani Izabela także milczała chwilę, a potem objęła dziewczynkę i ucałowała ją w gorący policzek. Cechna dygnęła, szepnęła: „Dziękuję pani”, i oto szła teraz przez mroczną galerię, mijając drzwi numer siedem, osiem — które wciąż były podobne do drzwi teatralnych łóż.

Wtedy w głębi galerii, jak z głębi widowni, wysunął się ktoś smukły i szedł szybko ku drzwiom pani Izabeli. Minął Cechnę, obejrzał się za nią i podszedł do uchylonych drzwi numer sześć.

Pani Izabela wstała z krzesła i powiedziała:

— Drzwi otwarte. Proszę wejść.

Gość wszedł i zapytał głosem kuzyna Adzia: — Czy pani Izabela?

— Adzio? — zapytała zdumiona pani Izabela.

— Nie, proszę pani — odpowiedział znajomy głos. — Jestem jego wnukiem.

PIERŚCIONKI

Pani Izabela zapaliła światło. Gość rozejrzał się po pokoju, zatrzymał wzrok na wątlých krzeselkach, stoliku, pianinie, kwiatach i na fotografii pięknej czarnookiej Hiszpanki.

— Jak tu ładnie — powiedział. — Myślałem, że tak powinno być u pani, gdy dziadek mi o pani opowiadał.

Pani Izabela uśmiechnęła się.

— Więc pana dziadek mówił panu o mnie?

— O, bardzo często! — powiedział młody gość.

— Proszę, niech pan siada — zaprosiła go pani Izabela i naląła kawę do filiżanek.

Młody gość usiadł naprzeciw niej. Jakże był podobny do kuzyna Adzia, gdy kuzyn Adzio miał dziewiętnaście lat! Tylko oczy miał inne, chociaż tak samo piękne i niebieskie. Patrzyły prosto w oczy pani Izabeli. Tak: prosto, a oczy kuzyna Adzia umykały zawsze spojrzeniem gdzieś w bok, czujne, niespokojne. Młody gość chwilę mieszał kawę łyżeczką w filiżance i nic nie mówił. Po czym, jakby nagle nabierając odwagi, podniósł oczy na panią Izabelę i powiedział:

— Mój dziadek nie żyje.

Pani Izabeli zabiło serce. Patrzyła na swojego gościa i milczała.

— Ale, już ciężko chory, prosił, abym oddał pani — to — młody człowiek wyjął z kieszeni małe pudełeczko i podał je pani Izabeli. 101

- Co to jest? — zaniepokoiła się pani Izabela. Młody człowiek spuścił głowę.

— Proszę otworzyć.

Pani Izabela nacisnęła złoty zameczek, wieczko odskoczyło. W pudełku na białym aksamicie leżał pierścionek z czerwonym kamieniem.

— Mój pierścionek? — wyszeptała pani Izabela.

— Pani — powiedział młody człowiek.

— Jak to? — zapytała bez tchu pani Izabela. Młody człowiek wyjął z kieszeni portfel, a z portfela list.

— Niech pani będzie łaskawa to przeczytać — powiedział. Pani Izabela drżącą ręką sięgnęła po swoje okulary. Przed oczami chwiały się jej litery.

Droga Kuzynko Izabelo!

To mój jedyny list do Ciebie, nie licząc tych bilecików, które dołączałem do bukietów — przed niemal pięćdziesięciu laty. Chciałem tę sprawę załatwić osobiście, teraz, kiedy stałem się innym człowiekiem i mógłbym bez wstydu spojrzeć Ci w oczy. Ale z moim zdrowiem bardzo źle i muszę skorzystać z pośrednictwa mojego wnuka — także Adolfa. Czy pamiętasz ten wieczór, Droga Kuzynko, kiedy to śpiewałaś tak pięknie, wyglądałaś tak pięknie w hiszpańskiej sukni, w hiszpańskich pantofelkach? Popiełniłem wtedy ciężki występ i nękało mnie to przez całe życie. Wiedziałem, że Twój wielbiciel obstał dla Ciebie ten pierścień z rubinem. A ja — obstałowałem imitację. Pierścionek z czerwonym szkiełkiem. Gdy Ty kłaniałaś się publiczności, gdy teatr huczał od oklasków, ja, ukryty pośród kwiatów w Twojej garderobie, zamieniłem pierścionki. Długi, potworne długi były tego przyczyną.

A I

Nazajutrz uciekłem z Twoim pierścionkiem w świat. I tam — sprzedałem go, chcąc z czymś zacząć nowe życie. Po prostu, jak to się mówi: „zaczepiłem się” o Twój pierścionek, Kuzynko Izabelo! Nie piszę ci, ile się naborykałem, zanim, tym razem już rzetelnie pracując, doszedłem do takiego dobrobytu, aby móc pierścionek odkupić. Niestety — stało się to tak bardzo późno.

Przebacz mi, Droga Kuzynko. Nigdy nie zapomnę Twojego głosu.

Adolf

Kartka papieru, zapisana chwiejnym pismem, drżała w ręku pani Izabeli. Młody człowiek milczał. Zegar wybił godzinę.

— Tak — szepnęła pani Izabela — więc tamten, z którym przeżyłam tyle dobrych i ciężkich chwil, o którym mówiłam, że przynosi mi szczęście — to była...

— Imitacja — szepnął młody człowiek. — Ale niech pani nie myśli źle o moim dziadku, proszę. Potrafił stać się rzetelnym człowiekiem.

Pani Izabela opuściła głowę, młody człowiek wstał i siedł ku sieni na palcach.

— Niech pan przyjdzie jeszcze do mnie — szepnęła pani Izabela. Młody człowiek zatrzymał się w progu i spojrzał na panią Izabelę niebieskimi oczami.

— Niech pan przyjdzie! Koniecznie! — powiedziała pani Izabela i uśmiechnęła się do niego. — Nic złego z tego nie wynikło. Naprawdę. Niech pan przyjdzie jeszcze.

— Przyjdę na pewno — powiedział młody człowiek nieco schrypniętym głosem i ujął ręką klamkę w drzwiach.

— Niech pan nie zatrząskuje za sobą drzwi! — roześmiała się pani Izabela. — Bardzo trudno je otworzyć, a jeszcze wyjdę przejść ^^ się trochę.

Młody człowiek wyszedł. Ale pani Izabela nie wychodziła. Oparła twarz na rękach i patrzyła na leżący przed nią list, na otwarte pudełeczko, w którym połyskiwał pierścionek z rubinem. Zegar tykał. Pani Izabela siedziała nad stolikiem bez ruchu.

Ciche kroki zaszurały za drzwiami. Pani Izabela zamknęła pudełeczko, schowała je do szuflady.

— Kto tam? — zapytała.

W drzwiach stała ba busia Garbowska.

— A to pani, pani Garbowska — uspokoiła się pani Izabela. — Proszę, niech pani wejdzie.

Babusia Garbowska weszła do pokoju, założyła ręce i stanęła przed panią Izabelą.

— Poszedł już panin zagraniczny gość? — zapytała.

— Poszedł — kiwnęła głową pani Izabela.

— Ale przyjdzie jeszcze? — zapytała babusia Garbowska.
— Przyjdzie. Jeszcze nie wyjeżdża. Przyjdzie — powiedziała pani Izabela.
— To krewniak? — zapytała ciekawie babusia.
— Krewniak — uśmiechnęła się pani Izabela.
— A to pięknie, że o rodzinie pamięta, choć pewno się już nie tu rodził! — rozpromieniła się babusia Garbowska. — I pięknie, że jeszcze tu przyjdzie. Przyjdzie raz, to przyjdzie i drugi, i trzeci, i całkiem się od swoich odstrychnie! Chyba że ladaco.
— Nie, nie ladaco — uśmiechnęła się pani Izabela.
— Moja Cechna to też dobra dziewczyna — powiedziała babusia. — Alem przyszła tak się po sąsiedzku zwiedzić, co też pani o tym jej śpiewaniu myśli.
— Cechna ma piękny głos, pani Garbowska — ożywiła się pani Izabela. — Ale nie za wiele jeszcze umie. Myślę, że byłoby dobrze, żeby poćwiczyła jeszcze ze mną przed tym egzaminem.
— A prawdę mówiąc, tom o to przyszła prosić — roześmiała się babusia. — Pięknie pani dziękuję! Przecie pani zna się na śpiewie jak nikt na tej galeryji! Przyjdzie Cechna! Przyjdzie! Byle tylko nie zawadzała.
— Nie będzie zawadzała — powiedziała pani Izabela i wstała od stolika, a babusia Garbowska ruszyła ku drzwiom.
Ale w progu zawahała się, zatrzymała i zawróciła ku pani Izabeli.
— Ja bym chciała się jeszcze paniuni poradzić — szepnęła babusia.
— I o cóż to chodzi, pani Garbowska? — pani Izabela znowu przysiadła na krzeselku.
Babusia Garbowska oparła się o blat stolika i uśmiechnęła się figlarnie.
— Bo proszę ja pani mojej — szepnęła — Cechna przywiozła od rodziny piękną kurkę. Na rosół dla Dariusia. Ale Daruś się tak ładnie z tą kokoszką bawi, że nie mam sumienia. Widzi pani, ja to też kokosie lubię! Oj, lubię! — westchnęła babusia i pochyliwszy się do ucha pani Izabeli szepnęła tajemniczo: — Ja bym tę kurkę, proszę pani, chowała. W łazience. Jest dosyć miejsca w łazience. Koszyczek bym jej tam wstawiła, słomą wymościła — toby mi do koszyczka jajka dla Dariusia niosła. Świeżutkie bym dla dziecka miała. I prowadzilibyśmy ją na trawkę oboje. Jak kiedy na wsi byłam — babusia westchnęła znowu głęboko — tom lubiła chować kokosie! Oj, lubiłam — i ostatnie słowo babusi rozpuściło się w nowym westchnieniu. — Więc jak paniunia myśli? Można by tak?
— Chyba nie bardzo, pani Garbowska — powiedziała pani Izabela patrząc w niebiesciutkie oczy babusi. — Jak pani na wsi była, miała pani na kury pomieszczenie. Ale tu? W mieście?...
— Prawda, że to w mieście — pokiwała głową babusia. — Ano 105
niby tak. — Wyprostowała się i nagle w jej niebiesciutki oczach błysnęło przekorne światełko.
— Niby tak, niby nie — powiedziała i wyszła.
W mieszkaniu numer dziewięć Daruś spał w swoim łóżeczku, a Cechna na polowym łóżku. Jej długi warkocz rozplótł się i miękkie pasma włosów zwisały nad podłogą.
— Ładne ma włosy — uśmiechnęła się babusia. — Udarzyła się. Dobre dziecko.
— Kokoko — odezwało się niegłośno.
Babusia zajrzała do łazienki. Na wannie leżała trzepaczka, a na trzepaczce jak na grzędzie siedziała biała kura. Spojrzała na babusią czarnym okiem.
— Kokoko?
— Nie bój się — szepnęła babusia. — Nic ci nie będzie. Będziemy cię chowali oboje z Dariusiem. Śpij, śpij!
— Kokoko — odpowiedziała kura mrużąc oczy.
Babusia wyszła z łazienki. Noc była taka ciepła, babusia nie była senna, starzy ludzie nie potrzebują wiele snu. Babusi nie było spieszo do łóżka. Przystanąła w sionce.
Przez sień biegła smuga światła, od nie domkniętych drzwi numer dziewięć, aż do stóp babusi.
— Oj, nie domykają się, nie domykają — westchnęła babusia. — Nie chcą ani rusz, choćby je tak i owak przymierzał. Dwa, trzy czy cztery razy, jak to powiedział ten pan inżynier z Komisji! Ale jak to się ta świetlista dróżka ładnie przez szparę sączy! Taka prościutka jest dróżka w pobok naszego obejścia, co to nią moje kokosie do kurnika chodziły! Aż się prosi, żeby iść za nią przed siebie.

I babusia Garbowska poszła przed siebie świetlistą dróżką. Drzwi uchyliły się, babusia stanęła na galerii.

— Kokoko! Kokoko! — zatrzepotało i stadko dorodnych kur otoczyło zewsząd babusię Garbowską.

Znalazła się pośród wesołego furkotania skrzydeł, tupotu pięcio-palczastych łapek, pośród gdakania, pisku kurcząt, stukotania dziobków. Otoczyło to ją kręgiem, dziobki otwierały się.

— Kokoko! Kokoko! — a wielki kogut wyciągnął mieniającą się miedzianym blaskiem szyję i zapiął: — Pa-ni Gar-bow-ska-a! —

i zamachnął się potężnymi skrzydłami.

107

— Kurki! Kokosie! Kogutek! — rozczuliła się babusia i przy-Y\cVAa. pośród stada.

— Cip — cip — cip!...

Kury obiegały babusię ze wszystkich stron, pchały się na jej sze-\oV\ fartuch, wskakiwały na jej ramiona. Ciepłe piórka muskały jej ^^^^^^5^ł&bsx&^a. od dtzawa cĩaцци śwież\

M

^<\VJ

— Kurki! Kokosie! Kogutek! — rozczuliła się babusia i przyklekła pośród stada.

— Cip — cip — cip!...

Kury obiegały babusię ze wszystkich stron, pchały się na jej szeroki fartuch, wskakiwały na jej ramiona. Ciepłe piórka muskały jej policzki, trzepot wypełniał powietrze, a od drzewa ciągnął świeży wiejski powiew.

— Kokoko! Kokoko! — cieszyły się kury.

Było ich tak wiele i z początku wydawały się babusi wszystkie jednakie, ale wkrótce rozeznała się w tych piórkach, ogonach i skrzydłach.

— To ty, Czubatka? Ty, Zielononóżka? Ty, Leghornka? Ty, Karmazynka? — śmiała się babusia. — Moje kokosie, moje!

— Kokoko! — na kolana babci wepchnęła się biała kurka Cechny.

— A tuś mi, kurko! — śmiała się babusia i głaskała ją po białym łebku. Ale inne kury napierały na nią, spychały ją z szerokiego fartucha babusi.

— Ko! — krzyknęła kurka gniewnie i furknęła w górę, nad gdaczące stadko.

Wtedy kogut stanął na mocnych łapach, zadarł łeb, błysnął czerwonym grzebieniem, obejrzał się na drzewo i krzyknął wzburzony:

— Kukuryku!

— A co tam? — zapytała babusia.

— Ku-ku — powiedział kogut, wyciągnął szyję i błysnął okiem w stronę gałęzi.

— Masz ci los! — załamała ręce babusia Garbowska. — Gdzieżeś ty się, kurko, zapuściła? — krzyknęła i zerwała się na nogi.

Kury osypały się z jej fartucha, z ramion, trzepot piór rozwiął się 108 w powietrzu jak migocąca mgła, zniknęło stadko, zniknął kogut. Nie

^*q#.

znikła tylko biała kurka od Cechny. Siedziała na gałęzi drzewa i gdakała.

— A ty nicpotem! — zawołała rozgłośnie babusia. — Pójdź mi tu zaraz! Cip — cip — cip!

— Kokoko! — odezwała się przekornie kura.

— Cip — cip — cip! — wołała babusia na całą galerię.

— Co się stało, pani Garbowska? — pan Napoleon Rumbasz-kiewicz wypadł z drzwi numer siedem, a za nim Robert, Michał, kuzyn Pawłowski i Karabin.

— Hau! Hau! Hau! — zawołał Karabin, wyciągnął łeb i ujadął wpatrzony w gałąź drzewa.

— Olaboga! Olaboga! — zawodziła babusia. — Moja kurka na drzewo wylazła! Złeci! Zabije się! Zabije! Moja kokosia, moja kurka! — i zakryła twarz fartuchem.

— Hau — hau! — wołał coraz głośniej Karabin, a z drzwi numer osiem, dziewięć, dziesięć biegli na galerię lokatorzy.

— Kura na gałęzi! Kura na gałęzi!

— Moja kokosia! Moja kokosia! — zawodziła spod fartucha babusia Garbowska. — Spadnie! Zabije się!

Wtedy, zanim ktokolwiek zdołał temu przeszkodzić, przez balustradę galerii przechyliła się Maja. Przechyliła się, pochwyciła gałąź, zawisała na niej przez chwilę, podciągnęła się w górę i stanęła na drzewie. Wszyscy zamilkli, znieruchomieli.

— Koko? — zdziwiła się kura.

— Cip — cip — cip! — zaśpiewała Maja.

— Ko? — zapytała kura.

— Nie bój się. Nic ci się nie stanie — powiedziała Maja i zaczęła iść ku kurze po gałęzi. Szła powoli, rozprostowawszy ręce, jej wąskie stopy stąpały równo jak po dróźnie.

110 — Cip — cip — cip! — Maja pochyliła się i schwytała kurę.

— Ach — odetchnęli wszyscy z galerii.

— Wracaj, Maja, wracaj już! — zawołał Michał Rumbaszkiewicz.

Ale Maja z kurą pod pachą przysiadła na gałęzi i wyciągnęła rękę.

— Tu jeszcze coś jest! — zawołała, a przytrzymując pod pachą gdaczącą kurę, zdjęła coś z małej gałęzi drzewa.

— Co to takiego? — krzyknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz.

— Pierścionek pani Izabeli! — zawołała ze śmiechem Maja.

PAN WIŚNIEWSKI

— Szukaliśmy na galerii, szukaliśmy pod galerią, a nikomu nie przyszło do głowy szukać pierścionka na drzewie.

Robert przechylił się przez balustradę.

— Rozumiem — powiedział. — Pani Izabela stała tu, gdzie ja teraz stoję. Pierścionek zsunął jej się z palca, spadł prosto w dół i zaczepił się o gałązkę drzewa. Wszystko zawsze spada prosto.

— Jak powiedział wielki Newton — uśmiechnął się do niego kuzyn Pawłowski.

— Tak czy owak — szczęście, że się znalazł! — krzyknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Taki cenny pierścionek!

Pani Izabela była w swoim pokoju. Siedziała przed stolikiem. Na stoliku leżały dwa pierścionki: jeden w wysłanym białym atłasem pudełeczku, drugi — na blacie stolika i czerwony kamień odbijał się w nim jak w ciemnej wodzie.

Ręka pani Izabeli posuwała się w prawo, w lewo. Jakże były podobne! Naprawdę nie sposób było je odróżnić.

„Nie mogę ich pomylić — myślała. — I muszę wybrać”.

Chwilę jeszcze siedziała bez ruchu, po czym podniosła pierścio-ścionek, ten, który był zawsze na jej palcu przez lata jej szczęśliwej młodości i sławy, przez lata wojny i niedoli, i wsunęła go na swój 112 szczypty palec.

— A ten — dotknęła ręką otwartego pudełeczka - - sprzedam. Myśli pani Izabeli pobiegły naprzód.

Będzie przecież mogła po-

wolić sobie na niejedno, sprzedawszy ten pierścionek! A jak to będzie miło kupić piłkę na imieniny Michałowi Rumbaszkiewiczowi, łapierosnicę kuzynowi Pawłowskiemu, bluzeczki Ali, Celi i Mai, szal iani doktor, chustkę jedwabną babusi Garbowskiej i encyklopedię wojskową panu Napoleonowi.

Zawsze przecież o tym marzyła! Zawsze chciała okazać wdzięcz-tość dobrym sąsiadom z galerii.

Uśmiechając się wciąż, pani Izabela chowała pudełeczko z klejnotem do szuflady i wyszła z mieszkania wter sześć.

— Aaaa! Witamy szanowną panią! — wołał pan Napole->n — Czy mogę ucałować rączkę z pierścionkiem?

— Proszę! Proszę! — śmiała się pani Izabela i wyciągnęła rękę do pana Napoleona, a pan Napoleon ucałował ją, przyglądając się pierścionkowi jednym okiem.

— Co za blask! — wołał. — Klejnot pierwszej wody! W sam raz na rękę sławnej śpiewaczki, naszej pani Izabeli! Co za nadzwyczaj-iy pierścionek!

— Nadzwyczajny pierścionek! — śmiała się pani Izabela.

— Iiii! — zapiszczał Daruś i wytoczył się na galerię na swoich łustych nóżkach. Za Darusiem ukazała się babusia Garbowska.

— Aaa, pani Garbowska! — wykrzyknął pan Napoleon Rum->aszkiewicz. — Co tam słyhać z kura? Nie będzie przecież pani holować jej w łazience?

~ Kokoko! — powiedział przekornie Daruś.

— Hm — mruknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz — prawdę mówiąc, gdyby nie ta kura... Szkoda na rosół takiej kury!

— Oj, szkoda, szkoda! — westchnęła babusia Garbowska. Wtedy właśnie na galerię wszedł listonosz, pan Wiśniewski.

— Pierścionek pani Uitbcti

,S>!oS>.

^s^s^^y^^

-ci 2>vs \^«4:

\OT\

tli ■

— Aaaa, pan Wiśniewski! — krzyknął pan Napoleon Rumbasz-kiewicz. — Pierścionek pani Izabeli się znalazł!

— Nie może być! — zawołał pan Wiśniewski, oczy mu rozbłyły, przesunął czapkę na tył głowy i stanął nieruchomy, jak pomnik pracownika poczty, z torbą przewieszoną przez ramię.

— Prawdę powiedziawszy — westchnęła babusia Garbowska — gdyby nie moja kokosia...

— Jaka kokosia? — ocknął się pan Wiśniewski i poprawił czapkę.

— Pierścionek pani Izabeli zsunął się z palca i spadł na gałąź drzewa — objaśnił pan Napoleon.

— Prosto — uściślił sprawę Robert Rumbaszkiewicz.

— Właśnie: prosto — mówił dalej pan Napoleon. — A kura pani Garbowskiej uciekła na gałąź...

— Na którą spadł pierścionek pani Izabeli prosto — bo istnieje siła przyciągająca, skupiona w środku ziemi — powiedział Robert Rumbaszkiewicz.

Pan Wiśniewski otworzył szeroko oczy.

— Do pioruna! — wrzasnął pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Ta powtórka przed egzaminem całkiem opętała tego chłopaka. Krótko mówiąc: pierścionek pani Izabeli jest trochę za luźny! Więc, gdy pani Izabela opierała się o balustradę, zsunął się jej z palca, spadł prosto na gałązkę drzewa i zaczepił się o nią!

— O którą gałązkę? — zaciekał się pan Wiśniewski i teraz on przechylił się przez balustradę.

— O tę — wskazał mu Robert Rumbaszkiewicz.

— No a co ma do tego kura? — zapytał pan Wiśniewski.

— Moja kurka go znalazła! — zawołała babusia Garbowska.

— Akurat! — wrzasnął pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Znalazła go Maja.

wski.

Jedna z tych trzech podobnych? — zapytał pan Wiśniewski. Właśnie — kiwnął głową pan

Napoleon Rumbaszkiewicz. To jakaś nadzwyczajna historia — powiedział pan Wiśnie-

Zupełnie nadzwyczajna — śmiała się pani Izabela.

115

— A co z tą kura? — zapytał pan Wiśniewski. Babusia Garbowska westchnęła:

— Ja tam z niej rosółu nie zrobię.

— Iii — szepnął rzewnie Daruś.

— Moja matka to też tak za kurami przepada — powiedział pan Wiśniewski. — Toteż i darzą jej się pięknie, i pięknie niosą.

— A gdzie to pana matka te kurki trzyma? — zaciekała się babusia Garbowska.

— My to mieszkamy z mamą het, precz, aż za lotniskiem — powiedział pan Wiśniewski. —

Domek tam mamy. Ogródek, kurnik i kojec. Samem matce ten kojec siatką ogrodził — uśmiechnął

się. — No i co dzień świeże jajka na śniadanie! Świeżuteńkie!

— O! — zawołała babusia Garbowska. — Wzjąłbyś pan, panie Wiśniewski, moją kurkę do siebie! Tuby tam Darusiowi jajka niosła i miałby je dzieciak co dzień świeże na śniadanie! A pan byś nam je przynosił, jakby się parę uzbierało, mój panie Wiśniewski! — i nie-bieściuchne oczy babusi Garbowskiej uśmiechnęły się do pana listonosza.

Pan Wiśniewski spojrział na babusię.

— Moja matka też wnuki ma — powiedział. — Wszystkie babki jednakie! Daj pani tę kwokę, pani Garbowska!

— Niech się panu za to wszystko dobrze darzy, panie Wiśniewski! — wykrzyknęła babusia Garbowska, wbiegła pędem w drzwi numer dziewięć, a po chwili wyszła z nią z białą gdaczącą kurą i podała ją panu Wiśniewskiemu.

— Zaraz, zaraz — powiedział pan Wiśniewski. — Wpierw muszę oddać szkoleniowe druki! Proszę, panie Pawłowski! — i podał kopertę kuzynowi Pawłowskiemu.

— Dziękuję panu — powiedział kuzyn Pawłowski. — Szczęście, 16 że to już ostatnia porcja. Koniec.

— Koniec?

— Po tym już tylko egzamin.

— To życzę panu wszystkiego dobrego. I zabieram się do domu. Już skończyłem mój obchód i jest miejsce w torbie. Daj pani tę kwoczkę, pani Garbowska!

— Uuu — zapłakał Daruś.

— Nie płacz, Daruś — powiedział pan Wiśniewski i przykucnął na betonowej podłodze przed Darusiem. — O, patrzajże! Kura pojedzie ze mną w mojej torbie autobusem na lotnisko! Trrr! trr! — pokazywał, jak autobus jedzie z kurą.

— Trr — trr — roześmiał się Daruś i podskoczył z radości. Pan Wiśniewski wstał i podniósł rękę do czapki.

— No, do widzenia państwu! Radość mam z tego pierścionka, jakby to mój własny się znalazł — powiedział.

— Ale mamy listonosza! Coś nadzwyczajnego! — wykrzyknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz.

— Tutaj wszyscy są nadzwyczajni — powiedziała pani Izabela, przesuając pierścionek na palcu i patrząc za odchodzącym panem Wiśniewskim.

Wszyscy za nim patrzyli, jak szedł równym krokiem, a z jego pocztowej torby wystawał kurzy ogon.

Nagle w niebieskich oczach babusi Garbowskiej mignęło podejrzliwe światełko.

— Ale — przecie — chyba — nie — przyjdzie mu do głowy? — szepnęła.

Nie powiedziała, co może przyjść do głowy panu Wiśniewskiemu, ale chyba wszyscy ją i tak zrozumieli, bo pan Napoleon Rumbaszkiewicz fuknął:

— Co pani chodzi po głowie, pani Garbowska! Przecież wszyscy znamy naszego listonosza. Nasz listonosz nigdy nas nie zawiedzie. 117

\ ku/\n Pawłowski zawołał ze śmiechem za panem Wiśniew-
im:

Panic Wiśniewski! Niech pan dobrze dba o tę kurę! Znalazła mele, a nam się to nie udało, choć zapędzaliśmy się za nim Bóg

Jasię tam nigdzie nie zapędzam! — odkrzyknął pan Wiśniew-Mam swój rejon, po nim chodzę i to mi wystarcza!

Koko! (Kle/wała się kura z pocztowej torby.

A kuzyn Pawłowski zawołał ze śmiechem za panem Wiśniewskim :

— Panie Wiśniewski! Niech pan dobrze dba o tę kurę! Znalazła pierścionek, a nam się to nie udało, choć zapędzaliśmy się za nim Bóg wie dokąd!

— Ja się tam nigdzie nie zapędzam! — odkrzyknął pan Wiśniewski. — Mam swój rejon, po nim chodzę i to mi wystarcza!

— Koko! — odezwała się kura z pocztowej torby.

■

NOWE DRZWI

— Drzwi! Drzwi! — Michał Rumbaszkiewicz wpadł na galerię wymachując teczką. — Stryjku Napoleonie! Robercie! Kuzynie Pawłowski! Pani Złudna! Ala! Cela! Maja! Pani Doktor! Babusiu! Drzwi! Drzwi!

— Drzwi! Drzwi! Drzwi! zaśpiewały na trzy głosy trzy Złudne, wyskoczyły z mieszkania numer osiem i biegly w podskokach za Michałem.

— Co za drzwi? Dlaczego krzyczycie? Olaboga! Co się stało? — odezwało się z każdego progu, a pani doktor wybiegła z mieszkania numer dziesięć i przytrzymała skaczącego Michała.

— Co się stało z drzwiami? — zapytała głosem jak znad dentystycznego fotela.

Zdyszany Michał przystanął, nic nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę w stronę wejścia na galerię. I wszyscy tam spojrzeli.

Na galerię wchodziło trzech ludzi. Wszyscy nieśli na plecach drzwi. Drzwi lśniły jak lustra: po prostu wyglądały, jakby wyszły z kąpeli w politurze. Były przy tym żółte, żółte jak jajecznica, a blask bijący od desek aż kłuł w oczy.

— Drzwi — odetchnęli wszyscy. — Nowe drzwi!

Tak. Wszyscy odetchnęli z ulgą, ale zabrzmiało to jak westchnienie. Może z powodu koloru i równego twardego blasku. Bo drzwi były tak żółte i tak lśniące, że po prostu narzucały się natrętnie.

Zda-

wało się, że ich wygładzona politurowana powierzchnia mówi: „Zamykam. Odgradzam.

Ograniczam. Nic się przeze mnie nie przemknie. Nikt się za mnie nie wymknie. Nikt się za mnie nie wyśliznie. Nikt nie wyleci. Jesteśmy drzwi trójwymiarowe: mamy swoją wysokość, mamy szerokość, mamy grubość. Jesteśmy solidne, żółte, politurowane drzwi”.

— No, tak — powiedziała pani Izabela, a za nią wszyscy lokatorzy powiedzieli tak samo: „No tak”. Tylko mały Daruś zapiszczał:

— lili!

— Macie państwo szczęście! — zawołał jeden z rzemieślników, niosących drzwi, i oparł je o ścianę. — Piękna, solidna robota! Każde drzwi jak ta lalka! A zamykają się i otwierają, jakby je kto masłem posmarował! — roześmiał się pokazując trzydzieści dwa piękne zęby.

Wiadomo, że śmiech się udziela, zwłaszcza kiedy ktoś pokazuje wtedy trzydzieści dwa piękne zęby, więc wszyscy uśmiechnęli się do wesołego pana rzemieślnika, który zawołał do swoich kolegów:

— No, to bierzemy się do roboty, chłopaki!

— Jazda! — zawołałi koledzy, a wesoły pan rzemieślnik przystąpił do drzwi pani Izabeli i wyjął je z zawiasów. Drzwi zaskrzypiały żałośnie.

— Lichota — powiedział wesoły pan rzemieślnik.

— Czasem miło, gdy drzwi zaskrzypią — powiedziała pani Izabela.

— Albo kiedy wpuszczą przez szparę księżyc — westchnęła pani doktor.

— Albo kiedy się niespodziewanie otworzą — powiedział kuzyn Pawłowski.

— Albo kiedy się nie domkną i można przez nie wypuścić psa — powiedział Michał.

120 — Nie wiadomo, jak państwu dogodzić — wzruszył ramionami

wesoły rzemieślnik. — Dostają państwo nowe drzwi, na wysoki połysk, komisyjnie się to pięknie załatwiło, a państwo jeszcze grymaszą!

— Ale skądże! — zawołał pan Napoleon. — Owszem, jesteśmy zadowoleni, owszem...

— Gdyby tylko były odrobinę mniej żółte — westchnęła pani Złudna.

Ale już wszystkie stare drzwi były zdjęte z zawiasów, a wesoły pan rzemieślnik zawołał do kolegów:

— Żwawo! Zakładamy nowe, chłopaki! Musimy skończyć tę robotę w mig! — a koledzy uśmiechnęli się także i gwizdząc zajęli się zakładaniem żółtych, politurowanych drzwi.

Nagle odezwał się głos pani Izabeli:

— Przepraszam, czy panowie nie znają czasem majstra ślusarskiego, Przewrotniaka?

— Przewrotniaka? — zdziwił się wesoły pan rzemieślnik. — Nie, nie znam. A wy znacie może,

chłopaki?

— Nie, nie znamy! — odpowiedzieli panowie rzemieślnicy. — Ale na co pani ślusarz? Te drzwi zamykają się i otwierają jak należy.

— Niepotrzebny mi ślusarz — odpowiedziała pani Izabela. — Ale poznałam kiedyś ślusarza Przewrotniaka i jestem ciekawa, co z nim słyhać.

— My nie wiemy — odpowiedzieli panowie rzemieślnicy. — I nie ma co nawet wspominać o ślusarzu! Niech państwo wypróbują te zamki! Prosimy!

Więc każdy z lokatorów podszedł do swoich nowo wstawionych drzwi, każdy poruszył klamkę, przekręcił zamek i każdy wszedł do mieszkania, a żółte politurowane drzwi zamykały się solidnie, jak należy.

Panowie rzemieślnicy wyszli z galerii, gwizdząc wesoło.

ŚWIADECTWA I DYPLOMY

Kwadrans po dwunastej ukazał się na galerii pan Napoleon Rum-baszkiewicz. Był w świątecznym ubraniu, wstążeczki orderowe miał przy klapie. Przed nim siedł Michał w granatowych spodniach, białej bluzce i w białych skarpetkach. Wyglądali obaj wspaniale.

— No i jak? — zapytała pani Izabela. Właśnie szła po galerii z wielką torbą i koszykiem, a za nią Cechna także z koszykiem i także z torbą.

— Przeszedł, szelma! — krzyknął pan Napoleon, a zza żółtych drzwi numer siedem Karabin zawołał radośnie: — Hau!

— Alem się nadenerwowałem! — wykrzykiwał pan Napoleon. — Bo to jeszcze w czasie nieobecności rodziców, rozumie pani! Ale owszem, wcale nie tak źle, jak się obawiałem! Żeby nie to sprawowanie, byłby nicpoń w klasowej czołówce! — i pan Napoleon klepnął Michała po plecach, aż zadudniło.

— Ach, jak ja się cieszę! — zawołała pani Izabela. — A czy pan wie, że i Cechna zdała?

— Hau! Hau! — cieszył się Karabin.

— Ho — ho! — wołał pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Brawo, panno Cechno, brawo! A dokąd to pani szanowna z takimi tor-biskami?

— Po zakupy — uśmiechnęła się pani Izabela. — Urządzą przyjęcie i wszystkich państwa zapraszam!

— Ho, ho! Przyjęcie! — wykrzyknął pan Napoleon. — Ma się rozumieć, że wszyscy przyjdziemy na przyjęcie do naszej sławnej pani Izabeli! Ale jakże szanowna pani pomieści nas wszystkich w swoim pokoiku?

— Urządzą przyjęcie na naszej galerii — powiedziała pani Izabela. — Poproszę tylko, żeby każdy z moich sąsiadów wyniósł na galerię swój stolik.

— Ależ oczywiście! Oczywiście! — wołał pan Napoleon. — Pomożemy pani we wszystkim, żeby się pani nie przemęczyła.

— I Cechna mi pomoże — uśmiechnęła się pani Izabela. — A czy pan wie, panie Napoleonie, że od jesieni Cechna będzie u mnie mieszkała?

— Nie może być? — zdziwił się pan Napoleon.

— To będzie doskonale, stryжку! — Michał podskoczył w górę. — Pani Izabela nie będzie sama!

— Tak, nie będę sama — powiedziała pani Izabela i położyła dłoń na czuprynie Michała. Na palcu błysnął czerwony kamień jej pierścionka.

— Hau! Hau! Hau! — nawoływał Karabin.

— Zaraz, kundlu, zaraz! — odkrzyknął pan Napoleon. — Poczekaj, tyle tu nowości, że aż trudno zebrać myśli! W głowie mi huczy!

— I na schodach huczy, stryжку! — krzyknął Michał. — To na pewno kuzyn Pawłowski pędzi na galerię! Ja zawsze poznam każde kroki! To kuzyn Pawłowski! O, już jest!

— Jes-tem — mag-mag — wołał pędząc bez tchu ku drzwiom numer siedem kuzyn Pawłowski. — Magistrem! — wykrzyknął stając przed drzwiami.

— Hau! — zawołał Karabin.

Kuzyn Pawłowski otworzył żółte drzwi, Karabin wyskoczył, a upojony powodzeniem kuzyn Pawłowski przykucnął, objął łeb Karabina i przytulił głowę do

psiego pyska. — Ach — powiedział — zdaje mi się, że jestem prawie zupełnie szczęśliwy!

— Składam panu najserdeczniejsze powinszowania! — zawołała pani doktor, wybiegając na galerię i wyciągając rękę do magistra kuzyna Pawłowskiego.

— Sto lat! — huknął pan Napoleon Rumbaszkiewicz.

— Jestem chyba zupełnie szczęśliwy — wyszeptał magister kuzyn Pawłowski, ściskając rękę pani doktor.

— Hooo! — wołał pan Napoleon Rumbaszkiewicz.

— Co tu dziś tak wesoło? — zapytał listonosz, pan Wiśniewski, wchodząc na galerię.

— Same dobre nowiny! — wołał pan Napoleon Rumbaszkiewicz. — Michał ma dobrą cenzurę, a kuzyn Pawłowski został magistrem !

— A to winszuję, winszuję! — skłonił się pan Wiśniewski. — Prawdziwie dobre nowiny, a jeszcze ja mam dla pana rentę — zwrócił się z uśmiechem do pana Napoleona.

— A to doskonale! — wykrzyknął pan Napoleon. — Proszę pana do mieszkania! Zaraz podpiszę i poczęstuję pana porzeczkowym sokiem z lodu! Bardzo dziś gorąco, to pan się ochłodzi, panie Wiśniewski.

— Bardzo dziękuję — powiedział pan Wiśniewski — z panem zawsze chętnie się napiję — z lodu czy nie z lodu.

I obaj ruszyli w stronę żółtych drzwi numer siedem.

— Chwileczkę, panie Wiśniewski — zatrzymała ich pani Izabela — mam do pana prośbę.

— Prośbę? — zatrzymał się pan Wiśniewski. — Słucham! Słucham !

— Żeby pan przyszedł do mnie na wieczorne przyjęcie! — po- 125

wiedziała pani Izabela. — Urządzą je dla wszystkich przyjaciół z galerii.

— Ach — rozpromienił się pan Wiśniewski. — Dziękuję szanownej pani! Przyjdę na pewno!

Uklonił się pani Izabeli i wszedł w drzwi numer siedem za panem Napoleonem Rumbaszkiewiczem.

— No to ruszamy po sprawunki, Cechna! — powiedziała pani Izabela. — Mamy tyle spraw do załatwienia.

— Czy mógłbym pani pomóc nieść paczki? — Michał szastnął nogami przed panią Izabelą. — I mogę pani doradzić, co kupić na przyjęcie, bo ja wiem, co kto lubi!

— Bardzo ci, Michał, dziękuję! — ucieszyła się pani Izabela. — Doprawdy nie byłam zdecydowana co do jadłospisu. Chcę tylko koniecznie, żeby były rurki z kremem!

Teraz uśmiechnął się Michał, wziął torbę z rąk pani Izabeli i wyszli wszyscy troje z galerii.

Na osiedlowym chodniku spotkali się z Robertem. Szedł ku domowi. Naprawdę nie trzeba było nawet pytać, czy zdał do liceum. Jego uniesiona głowa, błyszczący wzrok, dostoyny, a szybki krok mówiły:

— Idzie licealista! Idzie licealista!

Pani Izabela zapytała go jednak o wynik egzaminu.

— Owszem, dobrze — powiedział Robert z pełną spokojną godnością. Lecz niesforne radosne światełka skakały mu w oczach i zdawało się, że za chwilę i Robert podskoczy. Nie podskoczył. Ucałował rękę pani Izabeli i uściśnął rękę Cechny. Ale gdy Michał rzucił mu się na szyję, Robert objął brata i zakreślił się z nim w kółko. Jednak to kółko obracało się tylko parę sekund, bo za chwilę Robert spoważniał i wyprostował się godnie.

126 — Kochany Robercie — powiedziała pani Izabela. — Cieszę

ся i jestem z ciebie dumna! Mam nadzieję, że zaszczycisz swoją obecnością moje przyjęcie na

część sąsiadów z galerii — na cześć tych wszystkich, co zdali dziś egzaminy: pana Pawłowskiego, ciebie i Cechny.

— Och! — zaczerwienił się Robert, uklonił się i powiedział: — Przyjdę na pewno, proszę pani.

Wobec tego pani Izabela, Cechna i Michał ruszyli spieszenie po sprawunki, a Robert — w stronę domu. Szedł ciągle nie za prędko, z podniesioną głową, i myślał, że dobrze byłoby spotkać jeszcze kogoś, jeszcze komuś od niechcenia powiedzieć o egzaminie.

Ale nie spotkał nikogo ważnego, tylko — już na galerii — trzy Złudne. Podskakiwały jak zwykle i

biegły ku drzwiom numer osiem.

— Mamy dobre świadectwa! Mamy dobre świadectwa! — po-śpiewywały.

„Kozy” — pomyślał Robert i wzruszył ramionami. Zatrzymał się jednak.

— Jestem licealistą — oznajmił z królewskim spokojem.

— O! — zawołały trzy Złudne, roześmiały się, otoczyły go kołem i zaczęły obracać się prędko, prędko wykrzykując:

— Wobec tego — oczywiście! Cześć! Cześć! Cześć licealiście!

— Puście, smarkate! — wyrwał się z kręgu Robert, ale krąg wirował koło niego coraz prędej, jasne włosy dziewczynek unosiły się, świeciły w słońcu jak pajęczyna.

— Co za wesoły dzień! — wołały trzy Złudne, a potem wykrzykiwały jedna przez drugą:

— Znalazł się pierścionek pani Izabeli!

— Pani Izabela nie będzie sama!

— Cechna zdała do szkoły muzycznej!

— Pan Pawłowski został magistrem!

— Pan Rumbaszkiewicz dostał rentę!

— Michał przeszedł do czwartej klasy!

— Mamy dobre cenzury!

— Dziś wieczorem będzie przyjęcie!

— Mama uszyła nam nowe sukienki!

— Puście! — Robert wyrwał się z wirującego kręgu i oparł się o ścianę galerii. W głowie mu się zakręciło.

Ale trzy Złudne: Ala, Cela i Maja, obracały się wciąż w kółko, wciąż wykrzykiwały wesołe nowiny o egzaminach, przyjęciu i o nowych sukienkach, i nagle zaczęły śpiewać :

Mamy nowe sukienki. Ale z jakiej wełnki? Może z wełnistych chmurek mama je szyła dla córek ?

A z nitek rannej mgły są w tych sukienkach szwy?

Nie wiemy, nic nie wiemy! Może w nich pofruniemy? Może nas porwie wietrzyk i pomkniemy powietrzem — bo z nitek rannej mgły są w tych sukienkach szwy!

— Smarkate — wydał wargi oparty o ścianę Robert. Ale nie mógł oderwać się od tanecznego, śpiewającego kręgu, ulatujących w górę pasm włosów, lekkich sukienek Turkoczących, owiewających zwinne nóżki trzech Złudnych: Ali, Celi i Mai.

128 Robert nie miał jednak zamiaru gapić się na kręcące się smarkate z podstawowej szkoły. Wykręcił się do nich tyłem i podszedł do drzwi numer siedem.

— Teraz dopiero stryj Napoleon wrzaśnie — uśmiechnął się. —

Bardzo się cieszył na myśl o tej chwili, gdy mu powie: „Zdałem, stryju!” — Energicznie ujął klamkę drzwi, ale jeszcze raz obejrzał się przez ramię na wirujące Złudne.

— One chyba są ładne — skrzywił się Robert Rumbaszkiewicz, licealista.

Y

LETNI WIECZÓR

— A może herbaty? Może oranżady? Może kawałek tortu? Może rurkę z kremem?

Pani Izabela i Cechna dwoiły się i troiły. Były to tu, to tam przy wystawionych na galerię stolikach. Stoliki były nakryte białymi serwetami, a gdy się zmierzchno — zapalono na nich świeczki.

Ktokolwiek spojrział teraz na galerię, widział wesołe, migocące łagodnie płomyki. Rosnące obok bloku drzewo szumiało, odbłaski światła przepływały po galerii.

Nie było jeszcze dziesiątej, więc nikt z lokatorów nie sprzeciwiał się niecodziennemu przyjęciu, zwłaszcza że było to przyjęcie u pani Izabeli, która przecież nie była byle kim, była wielką śpiewaczką, mówiono o niej kiedyś na całym świecie, i to, że była tu sąsiadką, że urządziła przyjęcie na galerii, było to dla całego osiedla po prostu zaszczytem.

Przy tym w niejednym domu, tam, gdzie dzieci przeszły do następnej klasy albo zdały egzaminy, także dzisiaj świętowano.

Okna w wielu blokach były jasne, z jednych biła muzyka, z innych wesoły gwar, śpiewy.

" Wieczór był taki ciepły, okna — otwarte, oświetlone wnętrza jakby zbliżały się do siebie, a

wszędzie widać było chłopców i dziewczęta w białych odświętnych bluzkach.

— Niechże szanowna pani chociaż przysiadzie na chwileczkę! — pan Napoleon Rumbaszkiwicz usadowił siłą panią Izabelę na krzeselku. — Sami się obsłużymy, a i dziewczęta nam w tym przecież pomagają!

Więc pani Izabela usiadła za stolikiem, za migocącym płomieniem świeczki, i patrzyła na swoich gości: na babusię Garbowską, pana listonosza Wiśniewskiego, panią doktor, kuzyna magistra Pawłowskiego, zapatrzonoego w odbłask świeczki na jej krótkich włosach, na wyniosłego dzisiaj licealistę, Roberta Rumbasz-kiewicza, na Michała siedzącego dumnie obok pana Napoleona w świątecznym ubraniu, przy orderach, na ciemnowłosą Cechnę i wnuka kuzyna Adzia, wodzącego niebieskimi oczami po stołach, światłach, twarzach ludzi, jakby na zawsze chciał zapamiętać ten wieczór.

Pani Izabela uśmiechnęła się i poruszyła pamiątkowym pierścionkiem na palcu. W świetle płomyka błysnął czerwony kamień.

„Kamień jest fałszywy — pomyślała — ale wszystko naokoło jest szczere. A to najważniejsze”.
Liście drzewa mroczniały, stały się całkiem czarne, a potem pośród nich wyblysło mgławie światło.
— Księżyc za drzewem wschodzi, babusiu — powiedziała Cechna. — Całkiem jak u nas, za gajem. Wie babusia, gdzie?

— Oj, wiem, Cechna, wiem — westchnęła babusia Garbowską, a pani Izabela powiedziała:
— Zaśpiewaj coś, Cechna!

Cechna podniosła się spokojnie, odłożyła talerzyk i zaśpiewała:
Gdzież mi się, pierścioneczku, potoczył...

Pani Izabeli znowu się wydawało, że betonowa podłoga umyka spod jej stóp, że Cechna stoi na scenie, pod wielkim teatralnym drze-

131

»•
JIUWilli-----TM^~----- — -TiSft.- r-f «

^"Тл «д да"4 s l ■fc»0**4 ^л »'««"*

wem, że głos Cechny wypełnia całą widownię, wzbija się nad łoże, nad teatralne balkony.

I nie wiedziała, czyj to głos brzmi tak pięknie. Cechny czy jej — pani Izabeli. Bo chociaż milczała, coś płynęło z samej głębi jej serca, coś prowadziło ten pełny młody głos, coś mu radziło: „Teraz — głośniej. Teraz — ciszej. Teraz — przeciągnij tę nutę”.

Bo chociaż głos pani Izabeli zamilkł, to, co nim władało — trwało wciąż. Była szczęśliwa, cały świat był wciąż pełen śpiewu.

Cechna skończyła piosenkę, uśmiechnęła się, usiadła.

— Pięknie śpiewa ta Cechna — szepnęli goście pani Izabeli. Drzewo szumiało, okna osiedla jedno po drugim gasły i wszyscy zrozumieli, że pora skończyć ten wieczór. Więc obrócili się ku swoim nowym politurowanym drzwiom.

— Ależ te drzwi solidne — powiedziała pani doktor i westchnęła. A za panią doktor westchnęli wszyscy.

Westchnienie przesunęło się po jednowymiarowej linii prostej, rozprzestrzeniło na długość i szerokość — w dwóch wymiarach, zagaściło i nabrało objętości — w trzech. A potem przesunęło się jeszcze dalej, głębiej, wyżej, szerzej, nad galerią przepłynęła falą księżycowa mgiełka, na której można by się wymknąć, przemknąć, wyrwać, wylecieć. Mgiełka przepłynęła, opadła.

— Kto to? — zapytali zdziwieni goście pani Izabeli.

Na betonowej podłodze galerii stał człowiek w roboczym ubraniu, w czapce zsuniętej na tył głowy. Pod pachą miał wytartą teczkę, z której sterczały świdry i obcęgi.

— Dobry wieczór szanownym państwu! — powiedział. — Czy państwo nie potrzebują czasem do tych drzwi ślusarza? Polecam się szanownej klienteli. Majster ślusarski jestem, Seleniusz Przewrotniak.

-sCit[/Ctf-->n Sra of-^-^r
(пцо ма(aB

jt^jtz^mć? 9&*?Φ9**PM» *****

— Ach — powiedzieli wszyscy i drgnęli, bo nagle cała galeria rozbłysła.

Księżyc podniósł się na drzewo, zalał blaskiem betonową podłogę i w tym blasku wszyscy lokatorzy zmrużyli oczy. Ale pod powieki wdzieriała się im księżycowa mgiełka, falowała, przepływała, coraz lżejsza, coraz bardziej nikła. Otworzyli oczy. Nikt nie stał na betonowej podłodze. Coś zaskrzypiało.

Lokatorzy z galerii obejrzeni się. Wszystkie solidne żółte polituro wane drzwi lekko się uchyliły.

— Hau! — ucieszył się Karabin.

ISIS

SPIS TREŚCI

Gorący dzień.....	5
Wymiary.....	18
Przesunięcie.....	24
Jabłka, dżem i miotła.....	33
Rum — brum — tra — ta — ta!	46
Pierścień.....	61
Pani doktor wyrywa ząb.....	71
Goście.....	92
Pierścionki.....	101
Pan Wiśniewski.....	112
Nowe drzwi.....	119
Świadectwa i dyplomy.....	123
Letni wieczór.....	130

Redaktor MARIA SZADKOWSKA

Redaktor techniczny BARBARA KIJUIS/.EWSKA

Koreklorki.

ALEKSANDRA DMOWSKA

EWA WEDOŁOWSKA

PRINTED IN POL A N D Instytut Wydawniczy „Nas/a Księgarnia” Warszawa 1978. Wydanie II. Nakład 40000 277 egz. Ark. wyd 7.77. Ark. druk. A1-11,36. Papier offsetowy ki. 111. 100 g 8} <90 16. OdcUmo do produkcji w maju 1977 r. Podpisano do druku w kwietniu 1978 r. Druk ukończono w listopadzie 1978 r. Zakłady Graficzne im. M. Kasprzaka w Poznaniu. Zam. nr 1686.

m